

#3

BETH HART

s. 22-26

**KONKURS:
Jonathan Carroll**

Afterpop

ISSN 2084-4999

1.23 zł (w tym 23% VAT)

maj-czerwiec 2012

KOKO *jest nawet spoko*

Przynajmniej w porównaniu z konkurencją. Poziom utworów rywalizujących o miano hymnu polskiej reprezentacji na Euro 2012 był przerażająco niski! Dlatego z dziwną satysfakcją przyjąłem zwycięstwo propozycji co najmniej komicznej. Uważam, że wcale nie powinniśmy się tego wyboru wstydzić. Wstyd jest oznaką kompleksów, a sposobem na pozbycie się ich jest śmiech. Więc śmiejmy się z Jarzębin. Obróćmy to w żart, a może Europa zauważy, że nie jesteśmy jednak tak nadęci, jak nas postrzegają, i zakompleksieni, jak sami o sobie myślimy.

Comeback **Jonathana Carrolla**

Bardzo promowana jest nowa książka Carrolla i... bardzo słusznie! My do tej promocji się dołączamy, bo autor na nią zasłużył. W tym numerze pełny przedruk jednego z najnowszych opowiadań oraz dwa drukowane egzemplarze dla Was!

Google i facebook *powszechnie irytują*

Czasem mam wrażenie, że Internet dopiero raczkuje. Niby rozwija się tak prężnie, a jednak ciągle okazuje się, że wciąż wiele rozwiązań ma więcej wad niż zalet. I nieustannie narzekamy – artyści na piratów, a ci na ACTA. Wszyscy zaś na politykę prywatności Google'a i Facebooka, z którego nie można zrezygnować. Operacje „w chmurze” nadal nie zawsze działają sprawnie i wciąż są dla nas zbyt „wirtualne”. A to tylko dotychczasowe problemy. W przyszłości będzie ich więcej, bo po opanowaniu naszych komputerów, Internet rozpoczął podbój ulic i tam dopiero narobi bałaganu. O tym wszystkim również piszemy w tym numerze.

Tadeusz Bisewski

AfterPOP
numer 3
maj-czerwiec 2012
ISSN 2084-4999

Zdjęcie na okładce
Agencja Delta

Redaktor naczelny
Tadeusz Bisewski

Redakcja
Dawid Brykalski
Karolina Joisan
Wojciech Onyszków

Współpraca
Alicja Bisewska
Ewelina Leszczyńska

Korekta:
Wydawnictwo Ekwita
www.ekwita.pl

Współpraca
Monika Prusinowska
Bogusz Malec

Wydawca
Słońce-KsiążycAlicja Bisewska
ul. Gnieźnińska 8/1
84-230 Rumia

Dźwięk

Obraz

Słowo

Interakcje

PREMIERY

płytyowe

Globular

A Self-Fulfilling Prophecy



Słowo globularny oznacza kulisty. W języku angielskim można znaleźć wyrażenie „a globular cluster”, co oznacza gromadę kulistą. W znaczeniu astronomicznym jest to zgrupowanie gwiazd z wyraźnie zaznaczonym centrum. Słowo globularny idealnie pasuje także do projektu DJ-a o pseudonimie Globular.

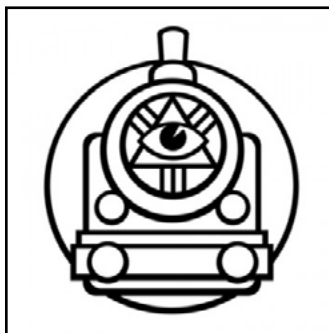
Nie wiadomo o nim za wiele. Jedyne to, że pochodzi z Bristolu, i że dużo zawdzięcza inspiracji muzyką Shpongli, Otta, Entheogenics i Younger Brother. *A Self-Fulfilling Prophecy* nawiązuje i rozwija te ścieżki w muzyce, na które wchodził już na swoich EPkach, to jest na *Colours of the Brainbow* i *In Formation* z 2010 roku. Na pełnowar-

tościowy album kazał czekać prawie 2 lata, a umieścił na nim 8 soczystych utworów, utrzymanych w konwencji psychedelic dub.

Globular komponuje głębokie dubowe brzmienia, wypełniając całą przestrzeń swojej muzyki inspiracjami z innych gatunków muzycznych. To niesamowite obycie z muzyką pozwala mu na zabawę dźwiękami na bardzo wysokim poziomie. Globular proponuje odjazd w zupełnie inny świat, świat spokoju i wyciszenia. Jest to propozycja nie do odrzucenia. [kj]

BaBu Król

Sted



Nareszcie Stachura trafił na warsztat prawdziwych twórców popkultury. SDM cóż, rządzą nim prawa właściwego mu gatunku. A Stachura zasługuje na wię-

cej! I to dostał – nowoczesną oprawę muzyczną z prawdziwego zdarzenia, przez którą grono jego odbiorców zasłużenie się powiększyło. Oby BaBu Król wyrwał go na dobre z obiegu poezji śpiewanej i wprowadził na stałe do repertuaru popularnych wykonawców.

Jak wypadła nowa aranżacja? Rewelacyjnie! Choć czasem trudno się przestawić na nowe brzmienie. Widać, że SDM pozostawił (niestety) trwałą

ślad na twórczości Steda. Tym bardziej chwala Bajzłowi i Budyniowi za przełamanie tego schematu. Za odświeżenie nam Stachury! Za stworzenie mu nowego wizerunku – żywego i barwnego jak nigdy dotąd!

I jak zawsze w przypadku dobrego wykonania zapożyczonych utworów – płyta trafia w podwójny target. Pierwszym jest grupa fanów wykonawcy, drugim – fani twórcy. A gdy należy się do obu tych grup, pozycja staje się po prostu obowiązkowa. [td]

Skala ocen:

★★★★★★★★

Space Ritual

★★★★★★★★

Stairway To Heaven

★★★★★★

To musi być miłość

★★★★★★

Dusza diabłu sprzedana

★★★★

Nadciąga noc komety

★★★★

I Can't Get No Satisfaction

★★★★

Welcome To The Jungle

★★★

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

★★

Mam tak samo jak ty

★

Kim jest człowiek, jeśli nie człowiekiem tylko

Anathema

Weather Systems

★★★★★★



Uwielbiani w Polsce, na świecie trochę mniej (ciekawe czemu). Po raz kolejny zrobili to, co robią najlepiej i zrobili to jeszcze lepiej, niż zawsze – a *The Storm Before The Calm* jest, jak do tej pory, najlepszym utworem, jaki w tym roku usłyszałem. Dziewięciominutowa, dwuczęściowa kompozycja o niezwykle dopracowanym brzmieniu to esencja obecnego stylu Anathemy. A i reszta płyty nie pozostawia nic do życzenia. Otrzymujemy, jak zwykle, spore dawki energii i melancholii w odpowiednich proporcjach. Emocje są rozłożone tak,

by utrzymywać uwagę słuchacza przez całą niemal godzinę – i muzycy robią to naprawdę skutecznie. Nic dziwnego, że polskie koncerty wyprzedają się na pniu. Na kwietniowe ciężko było się dostać, więc polecam już teraz pomyśleć o biletach na październik, zanim i te się skończą. [td]

The Cranberries

Roses

★★★★★



Kiedyś ta grupa miała naprawdę przebojowe przeboje... Dziś nagrywa szósty album (po 11 latach przerwy) i próbuje uwieść słuchaczy tym samym co przed laty. A tu, niespodzianka, czasy i percepcja muzyki się zmieniły.

The Cranberries to... głos i osobowość liderki Dolores O'Riordan i trzech muzyków. W głowie zostaje jej śpiew, kilka refrenów, ale żadnych wrażeń z powodu obecności zespołu. The Cranberries chyba naprawdę uznało, że jak wracają, to trafiają do tych wszystkich fanów, którzy przez tyle lat czekali na nowy materiał. *Roses* to przyjemna płyta na leniwe popołudnie i to też dla niezbyt wymagającego słuchacza.

Piosenki, piosenki, piosenki, banalne piosenki.

Roses to płyta bardzo udana, równa, leniwa. Dokładanie taka, jak cała kariera The Cranberries. I tym razem, sądząc po frekwencji na koncertach, również się udało. [db]

Disturbed

The Lost Children

★★★★★



Ta kapela zawsze daje fanom konkretny konkret. Zebrali panowie strony B singli, rarytasy dostępne na rzadkich wydaniach i inne poszukiwane nagrania i wydali płytę, której słucha się jak pełnoprawnego albumu.

Disturbed wiadomo, ostra gitara, sekcja czasem hard, a czasem funk i do tego śpiewokrzyk Davida Draimana. Zespołowi udaje się na tyle wywarzyć proporcje między agresją a melodią, że dziwi mnie zarzut, że to nie heavy metal. Ależ to heavy metal jak się patrzy, a nawet jak się słyszy. Zawsze tak było – kto nie wierzy, niech posłucha starych płyt Manowar albo Iron Maiden. Przy Dżudasach to można prawie tańczyć. Disturbed jednak idzie z duchem czasu i brzmienie ze-

społu to na pewno metal, tylko taki... metal obecnej dekady. Więc wysokie tony czasem są tak wyśrubowane, że prawie uszy bołą, a na solówki godne Malmsteena już nie ma czasu. Utwór musi być jak cios, albo kopniak.

Na finał, czyli pointę panowie nagrali *Midlife Crisis* Faith No More. Ło je! Ich wersja jest lepsza niż podtatusiałych gości z FNM. Potem jest jeszcze jeden cover *Living After Midnight* z repertuaru Judas Priest. Rok 1980, całkowity oldskull podany na nowo. [db]

Charlotte Gainsbourg

Stage Whisper



Dość tych wrzasków i skakania po scenie. Pora na odrobinę zadumy, nastroju, a może i lekką depresję. Nie dajcie się zmylić tytułowi, tu nikt nie szepcze. Charlotte znaczy wyrafinowanie, Gainsbourg znaczy zagadka. Nic na tej płycie nie jest oczywiste, nikt tu nie schlebia tandetnym gustom. Zespół nabija rytm jak z dyskoteki, tylko po to, by gitara grała jak w jazzowej kapeli, a sama Charlotte... robi co zechce.

Pierwsza część płyty to zbiór tzw. unreleased. Studyjne, zaskakujące utwory, które miały być piosenkami, a wyszły dziwnymi tworami, których wciąż słucham dziwiąc się, że tak można. W tych piosenkach poukrywano coś ciekawego, a to aranż, a to jakiś nietypowy instrument, albo dialog. Potem jest część koncertowa. Też nieźle, wszystko trochę uproszczone w stosunku do roboty studyjnej, ale atmosfera wspaniała. Część koncertowa, mimo że zebrana z różnych występów, ma nieźle przemyślaną dramaturgię. A i dynamiki jej nie brakuje. Są stylistyczne miniatury – *In The End*, jest cover – *Just Like A Woman*, który po raz kolejny potwierdza, że Dylan to rewelacyjny kompozytor, ale lepiej żeby nie śpiewał. [db]

Mutemath

Odd Soul



Muzyka równie dziwna jak okładka. Być może to jest rock XXI wieku.

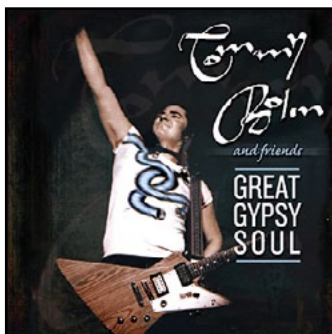
To nic, że wokalista śpiewa jakby fałszował, do tego mimo że śpiewa po angielsku nie rozumiem ani zdania. To nic, że sekcja gra tak, jakby

słowa „rytm” nie umieli nawet znaleźć w słowniku. To nic, że klawisze mają w sobie więcej psychodeli niż cały szpital dla psychicznie chorych przy Aleksandrowskiej w Łodzi. Bo wszystkie te pokręcone do potęgi szesnastej elementy łączą się jakoś tak udanie, że płyta jest dobra. Co więcej, na *Odd Soul* są utwory, które spokojnie mogą stać się przebojami – myślę o dynamicznym *Blood Pressure* albo otwierającym, tytułowym *Odd Soul*. Jakiś ślad obcych wpływów odkryłem w *Equals*, gdzie gitarzysta chyba się zaśluchał w The Cure. Nic to jednak, cała płyta jest na wskroś oryginalna i na tyle zakręcona, że mam przekonanie, iż wciąż nie odkryłem jej, że się tak wyrażę, w całości.

Lubię to! [db]

Tommy Bolin & Friends

Great Gypsy Soul



Najlepszą decyzją w karierze Bollina było przyjęcie oferty od Deep Purple. Zastąpić Ryśka Blackmore'a! Pewnie każdy, kto choć dwa akordy umie na gitarze zagrać, by tak chciał.

Później życie nie okazało się wcale takie piękne i Bollin skończył na

podobieństwo Hendrixa, Joplin czy Morrisona. Od powyższych jest jednak znacznie mniej znany. Jednak przyjaciele oraz muzycy nowego i starszego pokolenia postanowili o Bollinie przypomnieć, gdyż pozostawił po sobie kilka udanych kompozycji. Wzięto więc te z udanego solowego albumu gitarzysty – *Teaser* i dograno do nich nowe partie wokalne, gitarowe i co tam jeszcze komu przyszło do głowy. Zestaw dogrywaczy pierwszorzędny, więc plamy nie ma. Ba, prawie nie słysząc, że Bollina w studiu nie było. Glenn Hughes (on chyba bywa na wszystkich płytach typu „Tribute to”), Warren Haynes (Gov't Mule), Steve Morse (aktualny gitarzysta Deep Purple), Bill Whitford (Aerosmith), Myles Kennedy (aktualny wokalista Slasha. Swoje pięć groszy dorzucił Joe Bonamassa, który wspólnie z Glennem Hughesem nagrał absolutny numer 1 tej płyty – *Lotus*. Utwór jest ze dwa razy dłuższy niż oryginał. Hughes wspina się na szczyt swoich możliwości wokalnych. Bonamassa też się nie oszczędza i gra tak jakby to była jego własna kompozycja, czyli rewelacyjnie. Do tego zmiany nastrojów, rozbudowane improwizacje. Jak ktoś się zastanawia czy *Great Gypsy Soul* to wartościowa płyta, niech wpierv posłucha *Lotus*. Wątpliwości mijają po pierwszym krzyku Glenna i solówce Joe.

Albumy tego typu nie cieszą się zbyt dużym powodzeniem, a szkoda. W tym wypadku mamy ciekawą koncepcję, a wykonania najwyższych dostępnych lotusów, pardon, lotów. [db]

Birdy

Birdy I



Błąkały się te piosenki po radiu i błąkały, aż w końcu dorwałem całą płytę i jest lepsza niż można przypuszczać. Postarało się dziewczę.

Wokalnie trochę jak Kate Bush, która ma romans z Tori Amos, ale wszystko bardziej dziewczęce niż te matrony wyrafinowanego popu. Żeby było zabawniej Birdy urodziła się w... 1996 roku. Chyba każdy, kto skończył podstawówkę nawet zaocznie, potrafi policzyć ile ma lat? Pseudonim wzięta od powieści W. Whartona, na podstawie której zrealizowano udany film. Gra sobie panienka na fortepianie i śpiewa, a mnie się wierzyć nie chce, że to nastolatka. W „zalewie” tudzież „potoku” nieudanych gwiazd z jeszcze mniej udanych telewizyjnych plebiscytów SMS, dziewczyna wyróżnia się, bo ma dobry warsztat oraz śpiewa nad wyraz dojrzałe. Na świecie błysnęła coverem Bon Iver *Skinny Love*, ale mnie najbardziej się podoba (też cover jak i inne kawałki na Birdy) *People Help The People*. [db]

Charlie Winston

Still Running Running Still



Druga płyta człowieka, który chyba ciągle gdzieś wędruje i gra. Spotkać go można nawet skoro świt w londyńskim metrze. Kto nie wierzy, niech poszuka na YouTube.

Poprzednią płytę nagrał trzy lata temu. To naprawdę karygodne. Od tak zdolnego muzyka, w dodatku samouka, spodziewałbym się płyty co rok. I jeszcze żeby na koncerty do Polski przyjeżdżał. Najnowszy plack to naturalna kontynuacja i rozwój pomysłów z debiutanckiego Hobo. Winston, mimo że stawia na melodie, robi wszystko, by tekst i muzyka były ze sobą spójne. Każda piosenka musi opowiadać historię z próbą dotarcia do jakiegoś ogólnego sensu czy prawdy. Aranżacje to... coś dziwnego i silny punkt koncepcji Winstona. Używa przede wszystkim gitary akustycznej, ale i swego głosu, jako elementów podkładu, do tego wiele wzbogacających tło nakładek i raz nowoczesnych a raz oldskullowych brzmień wydawanych przez instrumenty czy przedmioty, których nazw nawet nie będę

próbował zgadywać. Czasem Winston jest krzykliwy (*The Great Conversation*), niekiedy smutny (*She Went Quietly*), albo przebojowy (*Where Can I Buy Happiness?*).

Przemyślana płyta, która jest równie dobra, a nawet lepsza niż debiut. Tylko czemu, do diabła, on tak rzadko nagrywa?! [db]

lecter

Inside/Outside



Lecter to projekt Romana Bereźnickiego, który muzykę ma we krwi, bo już lat nastoletnich pomagał przy koncertach starszemu bratu. Kiedy dorósł, uznał że też potrafi i miał rację. Płyta *Inside/Outside* jest dobra. David Bowie, Depeche Mode czy The Cure – to główne źródła inspiracji. Za numer jeden na płycie uznaję *Sign*, który nazywam sobie „numerem z trąbką”. Obok typowego rockowego instrumentarium pojawia się właśnie trąbka i utwór nabiera nowego wymiaru tudzież nastroju.

Nie sądzę, by Lecter zdobył sławę i majątek w Polsce, ale szczerze i bez cynizmu powiem: oby tak dalej, powodzenia. [db]

Projekt Grzegorza Rogali

Enthuzjazzm

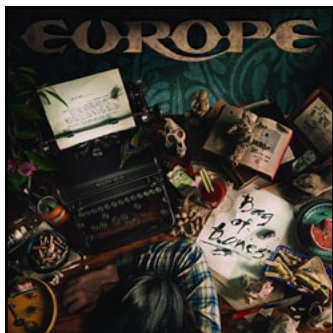


Grzegorz Rogala musi mieć przysłowiowy łeb na karku (tylko jakie jest przysłowie o łbie?) oraz niebываły talent, skoro dostał się do tak uznanych szkół i jeszcze je ukończył.

Przyznaję się do pewnego fatalnego przyzwyczajenia. Bad habit! Kiedy tylko się czymś zdenerwuję, kiedy mam za dużo pracy albo kiedy mam po prostu ochotę leżeć i nic nie robić – włączam płytę PGR. Nawet się specjalnie nie zastanawiam o czym (Grzegorz i Sagit) oni do mnie grają. Ponoć są to nawet jakieś biblijne historie... Tak, motywy żydowskie, a nawet ludowe słysząc, ależ jakie to ma znaczenie. Puzon Grzegorza i saksofon Sagit wprawiają człowieka w taki nastrój, że można zapomnieć o wszystkim (to niebezpieczne przy pracy), ale i wprawić się w tak pozytywny nastrój, że pojawia się... enthuzjazzm! Płyta to połączenie jazzu, folku, world music. Odważnie, kreatywnie i oryginalnie. Plan pierwszy to wspomniane dęciaki, reszta – to tło, albo ja jeszcze za mało tej płyty się nasłuchałem. [db]

Europe

Bag of Bones



Niewolnicy jednego przeboju? Zapomniane pudle z lat osiemdziesiątych? Kto tak myśli, jest w błędzie. Europe to zespół nowoczesny, a osiąga to szukając inspiracji w starym rocku i bluesie.

Podejrzewam, że Joey Tempest (wokalista) jest szalenie cyniczny i wyrachowany. Reszta zespołu sprawia wrażenie ludzi o wiele bardziej otwartych. Ba, zdarzy im się nawet wyznać żale. John Norum spytany, czy Europe czuje się niedoceniane, odparł: „Z jednej strony sprzedaliśmy ponad 15 milionów płyt, więc nie jest tak źle, ale z drugiej mamy świadomość, że to, co robimy, to co już zrobiliśmy, zasługuje na trochę więcej szacunku. Jest mnóstwo zespołów znacznie popularniejszych niż Europe, a nie grają one nawet w połowie tak dobrze jak my. Powiem więcej, moim zdaniem wiele z tych szalenie popularnych zespołów w ogóle nie potrafi grać dobrej muzy. Więc tak, jest to dla nas trochę krzywdzące.” Już poprzednia płyta *Last Look At Eden* była udana, *Bag Of Bones* udała im się jeszcze bardziej.

Profesjonalny, przemyślany, ale nie wyzbyty z emocji hard rock z domieszką bluesa. Jeśli ktoś Europe kojarzy z kilku starych hitów, a w szczególności tego jednego... to na *Bag Of Bones* pozna zupełnie nowy zespół. Riffy jak stary Led Zeppelin, solówki jakby jakiś młodzieniec dorwał się do gitary, Tempest śpiewa jakby duszę zaprzędał. Wzbogacone aranże i kompozycje, które powinny być w radiu non stop: *My Woman My Friend*, *Drink And Smile*, *Doghouse* i rewelacyjny tytułowy *Bag Of Bones*. W tym ostatnim gościnnie udzielił się... Joe Bonamassa. On już chyba jest wszędzie, a z pewnością wszędzie tam, gdzie uzna, że poziom jest wysoki. Po prostu udział Joe na płycie jest jak dawny znak Q – produkt najwyższej jakości.

Mam nadzieję, że Europe zdobędzie nowych fanów i że *Bag Of Bones* to nie jest ich finałowe odliczanie. [db]

JOE BONAMASSA

PO RAZ PIERWSZY AKUSTYCZNIE

TRASA AKUSTYCZNA 2012

5 lipca 2012
ZABRZE
DOM MUZYKI I TAŃCA
godz. 20.00



POBIERZ DARMOWY PLIK
"WOKE UP DREAMING" ZE STRONY
WWW.JBONAMASSA.COM/WOKEUPDREAMING
BILETY: TICKETPORTAL.PL

You Tube



Gitarzysta



TOP GUITAR
PROFESJONALNY MAGAZYN MIŁYCH

Delta
Agencja koncertowa • wydawnictwo



Mariusz Duda

Śmiertelnie dobry temat

Lider **Riverside**, basista, wokalista i kompozytor. Zrealizował trzy płyty pod szyldem **Lunatic Soul**. Dzięki czemu ponownie zdobył uznanie tak w kraju jak i za granicą. Płytę wysoko oceniliśmy w pierwszym numerze naszego pisma. Pora więc porozmawiać z jej twórcą. Okazuje się, że trzecia płyta wcale nie musi być trzecia, dusza to temat niczym rzeka, a sam Mariusz ustawia się gdzieś pomiędzy. I sam również z tego się śmieje.

Na trzeciej płycie Lunatic Soul nie ma w ogóle śpiewu – czym to jest spowodowane?

Mariusz Duda: Po pierwsze musiałem w jakiś sposób zaznaczyć różnicę pomiędzy czarno-białym albumem a tą płytą, żeby *Impressions* nie było odbierane jako *Lunatic Soul III*, a po drugie zawsze chciałem nagrać album instrumentalny.

Czy Impressions wyczerpuje już „potencjał artystyczny” projekt LS? Może masz jeszcze trochę takich wybornych utworów w archiwum? Czy na tym wydawanie płyt pod szyldem LS definitywnie się skończy?

Skończył się czarno-biały dyptyk o podróży w zaświaty. *Impressions* wycisnęło z niego ostatnie soki w postaci jeszcze jednego dodatkowego albumu,



ale na tym koniec tego tematu, być może nawet i stylu oraz kto wie czy nie instrumentarium. Ale na pewno nie będzie to koniec Lunatic Soul. Znalazłem sobie dosyć interesującą niszę i nie chcę z tego rezygnować. Kolejna płyta Lunatic Soul, dla jednych czwarta, dla innych trzecia – bo przecież *Impressions* to raczej suplement do tego, co było – a jeszcze dla innych druga – bo licząc *dyptykotrylogię* jako całość – będzie już związana z inną tematyką, z innymi kolorami, z inną grafiką, z innym podejściem do komponowania. Oczywiście nie chcę zmieniać wszystkiego w swojej muzyce, ale na pewno zacznę budowę od innego rodzaju fundamentów.

Co myślisz dziś o pierwszej płycie LS? Słuchałeś jej ostatnio? Zmieniłbyś coś?



Nie. Myślę, że całkiem nieźle wyszła. I to zarówno, jeśli chodzi o kompozycję, jak i produkcję.

A druga, jak po roku, słucha ci się białej płyty?

Też dobrze. Trochę więcej jest na niej odważnych kroków, przez co nie wchodzi tak gładko jak jedyńka czy *Impressions*, ale zależało mi na osiągnięciu pewnego efektu niepokoju i ten efekt wciąż jest, nie wyparował jeszcze. Jestem raczej zadowolony z efektu końcowego.

Raczej?

No wiesz, tu trochę bym skrócił, tam dodał, ale ja mam tak zawsze, że po odsłuchaniu tego, co już nagrałem, zapewne dalej wierciłbym dziurę w brzuchu. Na szczęście z biegiem lat nauczyłem się, że wszystko musi się po prostu znaleźć ponad tzw. linią przyzwoitości. I kiedy już się nad taką linią znajdzie, nie ma sensu dalej zmieniać, przedstawiać i kombinować. Niech już zostanie jak jest – przynajmniej będzie szczere i spontaniczne.

Dokąd zawędrowała zbłąkana dusza, której losy opowiedziałeś muzyką?

Dusza utkwiała w świecie pomiędzy, gdzieś między czernią a bielą, i pewnie snuje się tam do dzisiaj, a ciało bohaterera zapomniane przez wszystkich zawędrowało na ośnieżone wzgórze i zapewne dosyć poważnie rozłożyło się już pod zapomnianym i ukrytym w cieniu starym grobowcem, na który nikt już dzisiaj nie zwraca uwagi. I tymi słowami – tadaaaaa! – poznaliśmy odpowiedź na pytanie z *The Final Truth*.



Uważasz, że śmierć to dobry temat dla muzyki „rozrywkowej”?

To śmiertelnie dobry temat. Jeśli weźmiesz na warsztat takie utwory jak *Eleanor Rigby* The Beatles, *Tears In Heaven* Claptona, *Hurt* w wykonaniu Johnny Casha, duety Nicka Cave’a z PJ Harvey czy Kylie Minogue, albo *Show Must Go On* Queen oraz wszystkie utwory wykonawców, którzy zginęli lub umarli w jakiś niecodzienny sposób, sprawiając, że muzyka ich stała się kultowa, to powiem, że jak najbardziej.

Dusza to chyba jednak pomysł chrześcijański, a mam wrażenie, że Ty celowo unikasz jakichkolwiek skojarzeń z Kościołem bądź w ogóle religijnych. Jednak opisujesz sprawy duchowe. Jaka jest twoja filozofia wobec tych spraw?

No nie do końca chrześcijański, bo przed chrześcijaństwem było dużo innych religii, gdzie ta dusza w takiej czy innej formie się przewija. Dusza to temat rzeka. Nie jest tylko związana z religią, ale i z filozofią, patrz Sokrates czy Platon. Ale wiem, do czego pijesz.

Mieszkamy w kraju katolickim, z kościołem u nas wiąże się pewna tradycja, odbywają się kościelne rytuały jak chrzest, komunie św., ślub, pogrzeb itd. No cóż, tak wygląda życie w tym kraju i ja nie mam nic przeciwko tym tradycjom. Dlatego nie przepadam za osobami, które robią z siebie zagorzałych przeciwników religijnych, machają rękoma na lewo i prawo, wypowiadają się niczym znawcy i robią z tego swój mały spektakli. Z drugiej strony nie przepadam też za ortodoksami, którzy przesadnie manifestują swoją religijność, w większości – zwłaszcza w naszym kraju – podszytą dużą dawką hipokryzji. A więc chyba jestem gdzieś pomiędzy. Jak zwykle (śmiech). Generalnie jestem zarażony wirusem Josepha Campbella.

Rozmawiał: Dawid Brykański

Zdjęcia: Tomasz Przybył
& Lunatic Soul

muzyka zespołu **QUEEN** SYMFONICZNIE

w wykonaniu:
orkiestry Alla Vienna
i chóru Vivid Singers



20.07.2012 OPOLE

Amfiteatr NCPP, ul. Piastowska 14a

15.09.2012 ZABRZE

Dom Muzyki i Tańca, ul. De Gaulle'a 17

30.09.2012 WARSZAWA

Teatr Palladium, ul. Złota 9

04.11.2012 LUBLIN

Centrum Kongresowe UP, ul. Akademicka 13

08.12.2012 RZESZÓW

Filharmonia Rzeszowska, ul. Szopena 30



www.queen.allavienna.pl
www.fantommedia.pl
www.facebook.com/fantommedia

Gitarzysta

AUDIO

Grzegorz Rogala

Zycie to nie tylko muzyka

PGR – tym razem to nie Państwowe Gospodarstwo Rolne, lecz jazzowy, etniczny **Projekt Grzegorza Rogali**. Sam lider znalazł, mimo trasy koncertowej chwilę czasu, by odpowiedzieć na kilka pytań związanych z projektem, rewelacyjną płytą, życiem oraz jazzem.

W skład zespołu wchodzisz ty – Polak, Izraelka oraz... i tu mam kłopot: ty chyba często zmieniasz skład? Wasza muzyka to suma muzycznych doświadczeń wielu kultur?

Grzegorz Rogala: Właściwie to tylko ja jestem stałym członkiem PGR, choć z Sagit gram zdecydowaną większość koncertów ze względu na muzykę będącą obecnie miksem muzyki żydowskiej, jazzu i world.

Kiedy zacząłem studiować na Berklee College of Music w Bostonie, poznałem tam Sagit. To był trochę zbieg okoliczności, mój kolega z Izraela, Daniel Weiss, pozwolił mi korzystać ze swojej szafki, a Sagit też tam trzymała swój saksofon.

Zgadaliśmy się normalnie przy szafce, o wszystkim i o niczym, a potem umówiliśmy na jam session... Tak się zaczęło.

Studiowałeś w Berklee College Of Music – stąd wyszli jedni z najlepszych muzy-

ków naszych czasów, m.in. Steve Vai, Dream Theater, Al Di Meola. Ile dały ci te studia? Jak się tam dostałeś?

A oprócz wspomnianych przez ciebie jeszcze: Jaco Pastorius, Pat Metheny, Christina Aguilera... i wielu, wielu innych!

Studia tam dały mi motywację do wytężonej pracy nad techniką, ale także wiele innych umiejętności, jak korzystanie z programów muzycznych (Garage Band, Finale), rozwinęły jako aranżera, band leadera, dały także głębsze zrozumienie jazzu.

Dostałem się tam, zdając egzamin we Freiburgu (Niemcy) – jeden z wielu odbywających się we wszystkich częściach świata. W tym czasie studiowałem też w Berlinie na Jazz Institut Berlin. Ta szkoła też dużo mi dała. Poza papierem ukończenia studiów miałem szczęście uczyć się kompozycji u Johna Hollenbecka – perkusisty i laureata nagrody Grammy. Moim pierwszym



nauczycielem był trębacz z Kalifornii, Paul Brody – Amerykanin żydowskiego pochodzenia. Jednak jako puzonista jazzowy kształtowany byłem przede wszystkim przez kierownika big-bandu BBC, którym był Jiggs Whigam. On również jest z USA, jak widać na Jazz Institut Berlin aż roi się od Amerykanów... I dobrze!

W USA jako muzyk się rozwinąłem, ale wytrzymałem też czteromiesięczną rozłąkę z moją wówczas dziewczyną, a teraz już żoną. Potem znowu dwa razy po dwa miesiące – nauczyłem się relacji na odległość. Umiejętność koncentracji na celach i determinację na pewno tam też wzmocniłem, choć wiem, że czasem to może przeszkadzać. Życie to nie tylko muzyka... Nie tylko zawód, jaki się wykonuje – choćby był pasją.

A może ze swojej pasji – muzyki jazzowej nauczyłeś się jak bardzo ważna w życiu czasem jest improwizacja?

Hmm... Ważne jest, aby ćwicząc skale i zagrywki jazzowe – nie zamknąć się w nich... Przez długi czas miałem taki kompleks, że zwyczajnie się „zagrywałem”, aby pokazać że znam jakiś utwór, potrafię coś o nim „powiedzieć”. Tymczasem nie miało to sensu, tak jak nie ma sensu opowiadanie ludziom oczywistości. Przychodzą na koncert, żeby cię poznać, a nie po to, aby usłyszeć, że ćwiczysz. Myślę więc, że było na odwrót: to życie nauczyło mnie improwizacji... I wciąż uczę.

Czy to prawda, że w Berklee jest specjalny wydział przeznaczony dla osób piszących muzykę do gier komputerowych?

Tak, jest też orkiestra grająca muzykę do gier. Odbywają się specjalne koncerty muzyki do gier wideo.

Berklee koncentruje się na współczesności – chce kształcić profesjonalni-

stów w każdym stylu, jaki obecnie jest wykonywany. Ludzie odpowiedzialni za szkołę bardzo uważnie obserwują trendy rynkowe. Są więc zapraszani najlepsi z każdej dziedziny muzyki: od klasyki po metal.

Co wyjątkowego cię tam spotkało?

Hmm... Poznałem lepiej swoje możliwości. Poczułem, gdzie jest moja siła, nie odpuszczając tego, co wymaga kształcenia. Miałem zaszczyt otrzymać stypendium Berklee i nagrodę Phil Wilson Award.

Grałem też w zespole paradnym na święcie Świętego Patryka – ale to raczej nie mój *genre* (sic!).

Jako PGR wydaliście płytę Enthuzjazzm ; mieszają się w niej różne style, odcienie i muzyczne pomysły. Czy sesja do płyty do była jedna „wielka” improwizacja, czy podeszliście do nagrywania, mając tylko zarys, czy też kompletną „wersję” muzyki, jaką chcieliście nagrać?

Program płyty kształtował się przez kilka dobrych lat – pomysły aranżacyjne wciąż się zmieniały. Tydzień przed sesją spotkałem Wujka Samo Zło który dołożył swój rap i Lucyana, który zagrał na lutni arabskiej. Sagit przyniosła w teczce bliskowschodni aranż standardu *Stella by Starlight* i własną kompozycję *Israelites crossing the Red Sea*. Ja dołożyłem trzy swoje utwory i dwa aranże utworów Johna Zorna.

A te wszystkie motywy żydowskie - kto wniósł ich najwięcej?

Trudno powiedzieć, porachować kto więcej, a kto mniej. Choć na pewno Sagit była brakującym elementem tej mozaiki, której częścią jest muzyka żydowska. To jest jak w przedwojennej

Polsce, albo bardziej – w Nowym Jorku: są Polacy, są Latynosi, są i Żydzi, ale środowisko jest amerykańskie, czyli jazz to woda, w której pływamy.

Sam już wspomniałeś... Na płycie pojawia się raper ; coś to za karkołomny pomysł, by raper nagrywał z jazzmanami?

Przecież to nic karkołomnego. Davis nagrywał, Hancock, Urbaniak... Szlak miałem przetarty.

Muzyka pop i rockowa przeżywa kryzys – wytwórnie obwiniają o to piractwo w sieci. Jakie jest twoje zdanie na ten temat – ścigać nastoletnich złodziejasków czy odpuścić?

Sorry, to jest nasza praca. Jeśli ktoś czerpie z niej przyjemność, to chyba



mamy prawo do wynagrodzenia? Inną sprawą jest polityka wytwórni – klientów trzeba przyciągać i zachęcać... To leży w interesie nas wszystkich.

Spotykamy się w Łodzi, to tzw. miasto 4 kultur – jakie są twoje związki z Łodzią? Czy to miasto, właśnie przez swoją multikulturowość wzbogaca cię i twoją muzykę?

Lubię legendy, bo gdyby nie one, nic bym nie zobaczył – a tak fabryki, kamienice są jakimś punktem oparcia... dla podróży wyobraźni. Są też korzenie i rodzinne opowieści. Na przykład mój pradziadek wyrolował Żydów, którzy dostarczali byle jakie produkty wojsku. Potem mu mówili: „panie Madej, my panu damy majątek, niech pan tylko z nami interesów nie robi”. Twarde zasady konkurencji to jedno, ale kultura i dowcip też były ważne.

Od strony muzycznej to Warszawa, Kraków, Berlin i oczywiście Boston, te miasta dały mi najwięcej. W Warszawie uczyłem się jazzu w szkole, Kraków kocham i to właśnie tam zakochałem się w muzyce żydowskiej podczas festiwalu. Natomiast w Berlinie i w Bostonie poznawałem świat, ale przede wszystkim byłem skoncentrowany na graniu i komponowaniu.

Rozmawiamy 30 kwietnia – to Międzynarodowy Dzień Jazzu (ustanowiony przez UNESCO) – jesteście z PGR w trasie, jak zamierzacie uświetnić ten dzień? To w sumie wasze święto^a

A 27 kwietnia w Paryżu Herbie Hancock zainaugurował jego obchody. My w tym czasie graliśmy w Jarosławiu, dzień potem w Łodzi, następnie w Białymostku – a 30 kwietnia... świętowaliśmy, nie grając (śmiej). Trzeba było zrobić przerwę przed festiwalem we Lwo-





wie i dać sobie czas na przekroczenie granicy...

I jeszcze ciekawy epizod z trasy. Byłem w Centrum Dialogu w Łodzi i spotkałem tam dziennikarza BBC. Akurat przed Euro robili materiał o łódzkich antysemitkich napisach typu „żydzew”. Nie wiedziałem o tym, i ty pewnie też, ale to ponoć ewenement na skalę światową. Reporterzy chcieli porozmawiać z kibolami, ale chyba zabrakło im już czasu i stąd zdecydowali się na wywiad z Sagit i ze mną. Były więc trudne pytania i szczere odpowiedzi...

Niestety, i ja czasem wstydzę się za mieszkańców naszego miasta. Ale i cieśzę się, że jest w nim również miejsce dla osób takich jak ty. Twoja płyta i Enthuzjazzm – jakoś wciąż powraca do mojego odtwarzacza^a

Czuję, że jestem tu potrzebny... Rozumiem to miasto, znam też kontekst świata i wiem dokąd można by „dopłynąć”. Nikogo się nie zmusi, ani nie przekona, ale można swoim działaniem pokazać skalę możliwości działania. Ja w tym roku zamierzam nagrać kolejną płytę. Kto wie, może i ta będzie na „krótkiej smyczy” w twoim odtwarzaczu (sic!).

Rozmawiał: *Dawid Brykalski*

Zdjęcie Grzegorza Rogali:

Agnieszka Parkitna

Zdjęcie Sagit Zilberman:

Wojciech Urbaniak

Zdjęcia koncertowe PGR:

Yurij Dwornyyk

Beth Hart

Artystka wielowymiarowa

„Nieprzewidywalna”, „nieobliczalna”, „istne sceniczne zwierzę” – to tylko niektóre z określeń jakimi obdarzają Beth Hart recenzenci. Już 14 czerwca w Chorzowie przekonamy się o sile jej występów na żywo. Na rozmowę umówiliśmy się w przededniu rozpoczęcia europejskiej trasy koncertowej. W jej rodzinnym Los Angeles jest wczesny poranek i kiedy zaczynamy wywiad widzę na ekranie swojego komputera Beth, siadająca przede mną w szlafroku, z mokrą głową i kubkiem kawy w ręce. Od wstępu mówi z uśmiechem „Sorry za ten strój, nie będzie Ci to przeszkadzać? Właśnie skończyłam poranną jogę i jestem jeszcze w fazie porannego relaksu...”

Ostatnia pozycja w Twojej dyskografii, Don't Explain nagrana w duecie w Joe Bonamassą, odbija się ciągle bardzo dużym echem...

Beth Hart: Dzięki materiałowi za-wartemu na płycie miałam wrażenie, jakbym zrobiła w mojej karierze takie duże kółko i wróciłam do muzyki, której słuchałam jako nastolatka. Do tych utworów, które tak naprawdę zainspirowały mnie, żeby zostać muzykiem. A sama praca nad nią była dla mnie olbrzymią przygodą! Miałam co do tej płyty bardzo dobre przeczucia. Kiedy usłyszałam efekt końcowy, już w wersji z sekcją smyczkową, krzyknęłam: woowoo!

Na początku byłam bardzo zdenerwowana perspektywą współpracy z tak wybitnymi osobowościami i nie mam tu tylko na myśli Joe, który jest fenome-

nalnym muzykiem, ale też jego zespołu i producentów. Kiedy zaproponował mi, żebyśmy coś nagrali powiedziałam: „Czad, zaśpiewam w chórkach u Bonamassy, a on na to Nie, nie, nie! Chce żebyś to ty była główną wokalistką.” Odleciałam!

Bez problemu dogadaliście co do wyboru repertuaru?

Zrobiłam długą listę piosenek, takie same przedstawili Joe i Kevin. Najmilsze było to, że zostawili mi dużą swobodę i mówili, że przede wszystkim to ja powinnam się czuć dobrze z tym materiałem. Najśmieszniejsze jest, że na końcu okazało się, że dokładnie połowę utworów wybrałam ja i połowę Joe, a wcale nie umawialiśmy się na taki matematycznie sprawiedliwy podział.

Wybraliście piosenki-ikony uwielbiane przez wszystkich i słynne też dzięki charakterystycznym oryginalnym wykonaniom... Czulaś presję?

Teraz już się tym tak bardzo nie przejmuję, bo jestem bardzo zadowolona z efektu płyty. Wiem, że te piosenki doczekały się tysięcy wersji i śpiewali je wszyscy. Ale wydaje mi się, że są one tak doskonałe, że trudno coś w nich zepsuć. To jak w tym filmie z Jeffem Bridgesem *Crazy Heart*, widziałaś? Jest taka scena, w której siedzi w łódce z kolegą, który pyta „Hej, boisz się, że Ci to spieprzą? Nie, to jest tak dobre, że nie da się tego spieprzyć!”. I tak samo było z *Don't Explain*.

Rozmawiając z Joe, zapytałam dlaczego śpiewa na płycie tylko jeden utwór i powiedział, że „kiedy Beth staje za mikrofonem, to nie powinno się jej prze-

szkadzać swoim podśpiewywaniem, jest tak idealna w tym co robi”.

Naprawdę tak powiedział? Wzruszyłam się, to takie miłe! Ja bardzo lubię jego głos, w ogóle by mi nie przeszkadzał (śmiech). Będziemy kontynuować współpracę i mamy już studio zarezerwowane na styczeń 2013. Wiem, że to jeszcze masa czasu, ale tak właśnie pracuje się z Joe – on naprawdę jest pracoholikiem (śmiech) i kalendarz ma nieprzyzwoicie zapelniony. Nie ustaliliśmy jeszcze szczegółów, więc nie wiem czy to będą znowu covery czy może coś innego.

Do tego czasu ukaże się Twój solowy projekt?

Tak, ostatnio bardzo dużo czasu spędzałam pisząc i komponując. Wczoraj



wieczorem rozmawiałam z Kevinem, który będzie produkować moją kolejną płytę, i zaczęliśmy powoli wybierać kawałki. Nagramy dziesięć utworów.

Kevin Shirley znany jest ze współpracy z muzykami reprezentującymi ostrzejsze brzmienie jak Led Zeppelin, Aerosmith czy właśnie Bonamassa. Ty też chcesz iść bardziej w tę stronę? Twoja ostatnia płyta była stylistycznie całkiem lekka.

Album *My California* rzeczywiście był bardziej słoneczny i lekki. Teraz chce nagrać coś bardziej eklektycznego, ale jeśli chodzi o granicę hard-rocka, do której chcę się zbliżyć, to chyba będzie to w klimacie utworu *For My Friends* z *Don't Explain*. Ostatnio bardziej dryfuję w kierunku soulu. Zaczęłam nawet pisać numery gospel, bo dużo słucham

takich dźwięków. Mam ochotę czuć za sobą uduchowione żeńskie chórki. Ta płyta powinna być tak różnorodna, jak moje wczesne wydawnictwa.

Twoja przygoda z muzyką zaczęła się od klasyki. To była inicjatywa Twoich rodziców czy Twój własny wybór?

Zaczęłam grać na pianinie, bo „przyczepiła” się do mnie *Sonata księżycowa* Beethovena, którą usłyszałam w jakiejś reklamie. Tak chodziło mi to po głowie, że zaczęłam ją grać ze słuchu. To zrobiło wrażenie na moich rodzicach, bo zapytali, czy nie chce brać lekcji.

Grałaś sonatę Beethovena ze słuchu? To imponujące. W takim razie czy w ogóle czytasz zapis nutowy?

To zabawne, że o to pytasz, bo to właśnie główny powód moich scysji z profesorką fortepianu. Zaczęła mnie uczyć jako czterolatkę i trwało to mniej więcej przez trzy lata. Po tym czasie zrozumiałam, że ja właściwie nigdy nie nauczyłam się czytać nut (śmiech). Przyjęła błędną taktykę grania mi wszystkiego zanim dawała mi nuty, a ja od razu potrafiłam to powtórzyć ze słuchu. Niestety teraz już nie mam takiego dobrego słuchu, musiałabym trochę poćwiczyć. Ale moja nauczycielka strasznie się na mnie za to wkurzała – trzy lata i nie nauczyłaś się żadnej teorii! (śmiech)

Masz swoich ulubionych kompozytorów klasycznych albo dzieła?

Zdecydowanie Beethoven, fortepianowe dzieła Rachmaninowa, zawsze uwielbiałam Haydna. Nigdy nie przepadałam za Mozartem, nawet w muzyce klasycznej wolałam mroczniejsze klimaty. Choć lubię niektóre z jego oper.



Wracając do mocniejszych klimatów, jak to się stało, że zaczęłaś nagrywać ze Slashem?

Po prostu do mnie zadzwonił! Dobrze, nie? Powiedział, że słyszał, jak grałam z Jeffem Beckiem i podoba mu się, jak śpiewam, więc może byśmy coś razem nagrali. Myślałam, że się prześłyszałam... Serio? To w końcu Slash! Zaczęliśmy więc razem pracować nad wspólnym materiałem. Śmieszne jest to, jak bardzo się różnimy – on jest superspokojny, cichy, a ja mam chyba wręcz ADHD i jestem głośna. Przez tę jego łagodność miałam na początku wrażenie, że mnie nie lubi i w ten sposób to okazuje, a ja już zaczynałam myśleć „F*ck, ewidentnie mu się nie podobam”, ale realizator dźwięku powiedział, że on ma taki styl i bardzo mnie lubi, więc potem już było ok. Mieliliśmy nagrać coś na jego płytę, ale koniec końców ten utwór pojawił się na krążku *Pomoc dla Haiti*.

A wspomniany przez Ciebie Jeff Beck? Skąd ta współpraca?

Teraz to jeden z moich ulubionych gitarzystów, ale wstyd przyznać, kiedy miałam z nim współpracować, nie za bardzo zdawałam sobie sprawę z jego dorobku. Dostałam telefon od kogoś z jego ekipy, że słyszał mnie w bardziej jazzowym repertuarze i chciałby spróbować coś ze mną napisać. Pojechałam się z nim spotkać, ale byłam przy tym dość na luzie. Dopiero po pewnym czasie zauważyłam, że mój mąż i manager są tacy mega „och, ach”: „naprawdę? Jeff Beck? To niesamowite” – na co ja: „ale o co tyle szumu właściwie?”. I znowu oni „przecież to jest JEFF BECK naj-



lepszy gitarzysta na świecie, chodząca legenda”. I wtedy zaczęłam się denerwować! (śmiej). Ale w Jeffie cudowne jest to, że mimo swojej legendy potrafi sprawić, że każda osoba w studio czuje się absolutnie potrzebna i najbardziej utalentowana na świecie. Jest bardzo entuzjastyczny w stosunku do tego, co robisz i czujesz się cudownie doceniony. To wspaniała cecha.

Które z Twoich nagrań jest dla Ciebie najważniejsze?

Zdecydowanie *Don't Explain*, mimo że nie miałam żadnego wkładu twórczego w powstawanie poszczególnych utworów. Dzięki pracy nad tą płytą utwierdziłam się w przekonaniu, że wybrałam dobrą drogę życiową, że warto było postawić na muzykę. Przypomniłam sobie też o konwencji muzycznej, którą kiedyś byłam mocno zafascynowana, a ze względu na to, że bardzo zależało mi na karierze w tej branży, musiałam się podporządkować innym stylom. Kiedy zaczynałam karierę właśnie pojawiał się cały ruch grunge i ja też, żeby zdobyć kontrakt płytowy, poszłam w mocniejszym kierunku. Potem mój zespół się rozpadł i weszłam w fazę opowiadania historii muzyką. Z tego okresu jestem bardzo związana z płytą

Screamin' For My Supper, to dla mnie bardzo ważne nagranie.

Kiedy słucham Twoich tekstów odniosłam wrażenie, że nie lubisz pisać o radoшной stronie życia. Słowa są z przesłaniem, bardzo głębokie, ale często dość dołujące...

Jest chyba powszechnie wiadomo, że w moim życiu zdarzały się gorsze momenty i chyba mam w związku z tym tendencje do zwracania się w tę ciemniejszą stronę. Mimo że to mi przychodzi naturalnie i łatwo, świadomie staram się teraz od tego uwolnić i zmienić kierunek na radośniejszy. Chciałabym w końcu zacząć pisać o przyjemnych rzeczach! Ale nie ma to nic do czynienia z gatunkiem. Najważniejsze żeby być szczerym, żeby ludzie potrafili uwierzyć, że wiesz o czym śpiewasz.

Czy jako kobieta-liderka zespołu masz jakieś spostrzeżenia co do funkcjonowania kobiet w przemyśle muzycznym?

Zawsze chciałam mieć dzieci i teraz widzę, że to jest taka moja mała porażka. Wydawało mi się, że będąc artystką nie mogę sobie na to pozwolić. Wiem, że są kobiety, które potrafią połączyć karierę z udanym życiem rodzinnym. Swoją drogą podziwiam je i nie mam pojęcia jak to robią... Samo panowanie nad karierą czasami przerasta człowieka. Od 11 lat jestem mężatką i to mi bardzo pomogło. Przez ten czas stałam się radośniejsza i spokojniejsza. Miło jest mieć przy sobie kogoś, komu na tobie zależy, najlepszego przyjaciela. A my ze Scottem w dodatku możemy razem pracować!

Jestem ciekawa jakiej muzyki słuchasz prywatnie?

O Boże, każdej! Ostatnio dużo słuchałam Florence and the Machine i PJ Harvey. Tom Waits to mój ulubieniec, słucham jego najnowszej płyty. Słyszałaś ostatnią płytę Vintage Trouble? Koniecznie to zrób – świetna! Bardzo soulowa, a jednocześnie surowa. Mam ją dopiero od wczoraj i jeszcze całej nie przesłuchałam, ale świetnie się zapowiada. Jestem chyba największą fanką Amy Winehouse na świecie. Kocham Carol King, Otisa Reddinga i Ette James, ale jak można ich nie kochać. To moi życiowi idole.

Rozmawialiśmy głównie o muzyce, ale wiem, że to nie jedyna dziedzina sztuki, którą się zajmujesz. Opowiedz mi proszę o swoich pracach plastycznych.

To zabawne, ale moje obrazy są równie złożone, jak muzyka. Bardzo szybko zmieniam kierunki i techniki. Nie maluję często, ale jak już zacznę, to kompletnie się w tym zatracam i potrafię nie jeść, nie spać i malować przez bite 14 godzin. Czasami idę w kierunku ciemnego impresjonizmu, ale mam też całą kolekcję prymitywnych rysunków rybek a'la kreskówka. Kiedy nagrywałam z Jeffem Beckiem stworzyłam dość abstrakcyjne dzieło – jego portret, ale z damskimi piersiami. Mój mąż stwierdził, że to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek namalowałam (śmiech).

Rozmawiała: Zosia Matysik

Zdjęcia: Agencja Delta

*Wywiad ukazał się w 48. numerze
Kwartalnika Twój Blues
(www.twojblues.com)*

A full-page photograph of Beth Hart. She is crouching in the center of the frame, looking directly at the camera with a serious expression. She has dark hair with blonde highlights and is wearing a black blazer over a white cowl-neck top, black pants, and large hoop earrings. Her hands are clasped in front of her. The background is a wall covered in colorful graffiti, including a large yellow smiley face. The ground is paved with red and white triangular markings.

BETH HART

14 CZERWCA
MDK BATORY CHORZÓW
GODZINA 20.00

Guča connecting people

W tym roku jadę. Mam bilety do Serbii i w sierpniu odwiedzę 52. Zgromadzenie Trębaczy w Dragačevie – festiwal Guča!

To niezwykle festiwal, który od 1961 roku odmienia miasto w centrum kulturalne i rozbrzmiewa tysiącem tręb. Trwa od środy do niedzieli, w pierwszej połowie sierpnia, w samym sercu Bałkanów. Podczas imprezy, zjeżdżają orkiestry dęte z całego kraju by dać popis talentu i kondycji. Atmosfera radości i zabawy wypełnia ulice, którymi kroczą trębacze i tłumy turystów. Muzyka rozbrzmiewa we wszystkich zakątkach miasta, towarzysząc ludziom także w knajpach, pubach, restauracjach. Główne występy odbywają się

na dwóch scenach, ale prawdziwą atrakcją są koncerty na placu pod pomnikiem trębacza oraz parady prezentujące wszystkie przybyłe orkiestry.

Ta impreza kojarzyć z kiczem – odbywa się tam też pchli targ wypełniony straganami i kuchniami polowymi. Można na nim kupić niemal wszystko, nawet najbardziej absurdalne przedmioty w stylu drewnianej szafy, roweru czy klosza do lampy. Jednak tego rodzaju „odpusty” znajdują uzasadnienie w tutejszej kulturze i temperamentach. Klimat imprezy odsyła do filmów Emira Kusturicy takich jak: *Czarny kot*, *biały kot*, *Underground*, albo do filmu *Guča! Pojedynek na trąbki* w reżyserii





Dušana Milicia, który rozślawił festiwal na świecie.

Muzyka sprawia, że wszyscy łączą się w zabawie i tańcu przy instrumentach dętych. Muzycy samoucy grają bez przerwy przez kilka dni. Zaciekle walczą o Pierwszą i Złotą Trąbkę. Są również nagrody dla najlepszej orkiestry, trębacza oraz najlepszego trębacza publiczności, a także najlepszego utworu. Improwizacje, jam sessions, konkursy młodych talentów, rozmaite zawody gry na trąbkach, a także tańczące Romki przyciągają ludzi nie słuchających takiej muzyki na co dzień. Guča to ogromny tygiel kulturowy i wyraz najbardziej charakterystycznych cech ludności tego regionu: spontaniczności, zabawy, radości, muzykalności.

Macedończycy, Serbowie, Bośniacy, Czarnogórcy integrują się w bałkańskich rytmach, a wielu muzyków z innych krajów, np. z Niemiec, Węgier, Danii przybywa do Guči, by grać wraz z nimi. Dźwięki

okraszone są lokalnymi specjałami kulinarnymi, nie brakuje chleba, mięsa, sera, fasoli i oczywiście dużych ilości alkoholu. Serbska Rakija – bałkańska wódka ze śliwek – leje się strumieniami.

Festiwal stał się popularny na całym świecie i wpłynął na rozwój folku w tym rejonie świata. Jednocześnie podczas uroczystości daje o sobie znać duch nacjonalistyczny. Na ulicach powiewają flagi Jugosławii – wyczuwa się tęsknotę za tym krajem i dawnym porządkiem.

Te wszystkie sprzeczności i paradoksy trzeba po prostu zobaczyć na żywo. Nie da się tego porównać z innymi festiwalami muzycznymi. Właśnie dlatego święto trąbek stało się taką atrakcją turystyczną. Dodatkowym ułatwieniem jest łatwość dojazdu, niska cena za wjazd na teren imprezy i duża liczba miejsc noclegowych. Nic tylko Guča!

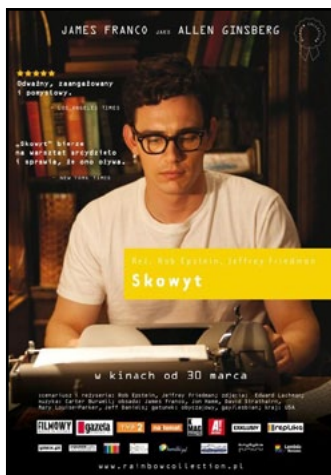
Ewelina Leszczyńska

PREMIERY *filmowe*

**reż. Rob Epstein.
Jeffrey Friedman**

Skowyt

★★★★★★



Próba oddania na ekranie mitu Allena Ginsberga (James Franco). Mitu, który zbudował na podstawie poematu *Skowyt*. Z powodu zgorszenia, jakie ten utwór wzbudzał wśród sprawiedliwych jego czasów, poeta został oskarżony o obrazę moralności i postawiony przed sądem.

Wokół tych wydarzeń zbudowana została fabuła filmu Epsteina i Friedmana. Reżyserzy skupili się na kilku motywach, wyodrębniając je z przebojowego życiorysu Ginsberga. Podzielili

swój obraz na części oraz wykorzystali różne poetyki, aby oddać klimat najważniejszego utworu poety i złożoność epoki, w której przyszło żyć temu twórcy.

Skowyt nie jest łatwym filmem, ale z pewnością wartym poznania. Lata 60. w Stanach bardzo przypominają dzisiejsze czasy. Kontrkultura i era bitników, fascynacja buddyzmem i alternatywnymi stylami życia. To jest coś, co współczesny odbiorca jest w stanie dobrze zrozumieć.

**reż. Mark Neveldine.
Brian Taylor**

Ghost Rider 2

★★



Skoro już pierwsza część była pomyłką, to po co powstała druga? To, że kolejne odsłony *Batmana*, *Iron mana* czy nowe *Avengers* święcą sukcesy na całym świecie, nie znaczy, że każdy odgrzewany kotlet okaże się smakowitym kąskem.

Historia motocyklisty Johnny'ego Blaze'a, skazanego przez samego Lucyfera na przemianę w płonącego kościotrupa, kiedy tylko w jego pobliżu znajdzie się jakaś grzeszna dusza, mogłaby przybrać dużo ciekawszą for-

mę. Ot, jak u wspomnianego *Batmana*, który nieustannie walczy ze swoją mroczną stroną osobowości. A tak, twórcy *Ghost Ridera* zalewają ekran efekciarstwem i tanią sztafpą, która zupełnie nic nie wnosi do świata komiksowych bohaterów.

Czasami jednak warto obejrzeć taki film. Na przykład, kiedy chce się wyzerować szare komórki, wyczyścić dyski w mózgu. Po czymś takim wszystkie inne filmy można uważać za arcydzieła.

Skala ocen:

★★★★★★★★

God must have been a fuckin' genius

★★★★★★★★

I just met a wonderful new man
He's fictional but you can't
have everything

★★★★★★★

My mum always said,
life is like a box o chocolates

★★★★★★

I love you, honey bunny!

★★★★★

May the Force be with you

★★★★

To weird, to live, and to rare to die

★★★★

Coco Jumbo i do przodu

★★★

Huston, we've got a problem

★★

Ja tu widzę niezły burdel

★

Albercik! Wychodzimy!

reż. Peter Berg

Battleship: Bitwa o Ziemię

★★★★★



Widowiskowa akcja i schematyczna fabuła po brzegi wypełniona scenami akcji – jak reżyser obiecywał, tak jest. Przed seansem trzeba zapoznać się z listą płac (m.in. Rihanna, Tayol Kitsch, Alexander Skarsgård), aby być pewnym, z jakim poziomem aktorstwa będzie się miało do czynienia. Po takim przygotowaniu kinoman nie będzie mógł narzekać – otrzyma to, czego można się spodziewać, i nic poza tym.

Nie jest to jednak film bezdennie zły, tylko płaski, zupełnie jednowymiarowy. Co nie oznacza, że nie bawi. Jako podkład do energicznego chrupania popcornu i popijania bezcukrowej coli jest propozycją idealną.

reż. Álex de la Iglesia

Życie to jest to



Nowy film hiszpańskiego reżysera de la Iglesias, jak najbardziej uprawnionego do tego, żeby z niesmakiem pisać o korporacyjnym życiu, wypijającym soki ze społeczeństwa. Hiszpański ruch oburzonych pokazuje, na jakich podstawach cały świat próbuje budować swoją przyszłość.

Tragikomedia de la Iglesias przeznaczona jest dla ludzi o mocnych nerwach. Główny bohater bowiem przez cały czas leży z czaszką przebitą prętem – jeden ruch i nie żyje. Roberto Gomez, grany przez José Motę, kiedyś miał karierę i pieniądze. Pozostało z tego tylko ładnie wyglądające CV. Nie mogąc znaleźć pracy ani w żaden

inny sposób zabezpieczyć przyszłości swoich dzieci, postanawia zarobić na swojej tragedii. Ile kosztuje duma i nasze człowieczeństwo? Czy media mają prawo do robienia kasy na ludzkim nieszczęściu (vide sprawa małej Madzi i jej mamy)? Film nie daje jasnych odpowiedzi, ale skłania do myślenia.

Świetna jest także Salma Hayek w roli Luisy, żony Roberta, która nie poddaje się tak łatwo otaczającemu ją wokół szaleństwu.

reż. Adrian Grunberg

Dorwać gringo



Nieco na wyrost – ale napiszę to: wielki powrót Mela Gibsona na ekrany. Albo raczej: powrót do jego wcześniejszych kreacji, jak choćby tej z *Zabójczej broni*. Tudzież chęć powrotu do łask widzów. A że widz najbardziej lubi to, co już dobrze zna, to z chęcią ponownie zobaczy Gibsona w akcji.

Jedną z ciekawostek dotyczących tego filmu jest to, że więzienie przypo-

minające normalną meksykańską wioskę, do którego trafia tytułowy gringo, istniało w rzeczywistości, nazywało się El Pueblito i zostało zlikwidowane dopiero w 2002 roku. Osadzony tam Driver zaprzyjaźnia się z dziesięcioletnim chłopcem i jego matką. Co też mogło się zdarzyć, ponieważ El Pueblito zamieszkiwały w większości kobiety „obsługujące” skazańców. Zadzierając z okolicznym bossem mafijnym musi uratować nie tylko swoją skórę, ale i nowych przyjaciół.

Historia jest prosta jak budowa cepa, ale ma niezaprzeczalne walory w postaci niebieskich oczu Gibsona i brawurowo poprowadzonej akcji.

reż. Tim Fehlbauer

Hell



Film debiutującego niemieckiego reżysera Fehlbauera, wyprodukowany przez Rolanda Emmericha (reżysera 2012), nawiązuje do ostrzeżeń ekologów przed totalnym zniszczeniem warstwy ozonowej i podniesieniem temperatury na Ziemi. Roztacza wizję tego, co by było

gdyby... Nawiązując do wielu wcześniej-szych filmów, podejmujących podobną tematykę, wpisuje się we współczesny trend ostrzeżeń przed ekologicznym zniszczeniem naszej planety.

To co mogło być ciekawie opowiedzianą historią, okazuje się słabym filmem, który nie wnosi nic nowego do naprawdę ważnego tematu. Nawet formalnie w tym obrazie wszystko już było (jak choćby *W stronę słońca*, chociaż tam słońce gaśnie i Ziemia się ochładza, a nie zamienia w pustynię). Paradoksalnie, niski budżet, jakim dysponowali twórcy, mógł przełożyć się na efekt prawdziwości, nadać szlif paradokumentu. Powstał jednak jednowymiarowy obraz ociekający przemocą i zupełnym bezsenssem.

reż. Bartek Konopka

Lęk wysokości



Twórca niezapomnianego dokumentu *Królik po berlińsku* nakręcił fabułę, z którą może śmiało wkraczać na światowe salony kinematografii. Nie ma tu

moralnego niepokoju ani skacowanych warszawiaków. Jest za to dużo spokoju i przemyślanej reżyserii. A także dwie doskonałe kreacje w wykonaniu Marcina Dorocińskiego i Krzysztofa Stroińskiego jako syna i ojca, który zmagą się z chorobą psychiczną.

Na szczęście Konopka nie idzie na łatwiznę i nie daje oczywistych rozwiązań swoim bohaterom. Wzbudza dojrzałe emocje, które są też motorem napędzającym postaci filmu do tego, aby mimo przeciwności walczyć o wspólne życie i minimum godności.

Dojrzałość jest też słowem, które opisuje cały ten film. Jak na debiut fabularny Konopki, *Lęk wysokości* jest bardzo dojrzały. Tak i cała historia oraz wrażenie, jakie wywołuje w widzach.

reż. Lasse Hallström

Pół w szczęścia w Jemenie



Reżyser *Czekolady* i *Co gryzie Gilberta Grape'a* znany jest z tego, że w swoich filmach tworzy prowincjonalne za-

mknięte światy, przepełnione swoistą baśniowością i dziwacznymi postaciami. Chociaż ostatnimi czasy nie wychodziły mu te feel-good movies, z nowym obrazem wraca jakby na stare tory.

Historia arabskiego szejka, który chce na pustyni stworzyć rzekę pełną angielskich łososi jest doprawdy kuriozalna. Ale Hallström potrafi dodać tej opowieści wiarygodności, nie rezygnując ze sporej dawki magiczności. Doprawiając całą historię ciepłym humorem, lekkim romansem i nutką zaangażowania politycznego, sprawia, że całość ogląda się z dużą przyjemnością.

Duża w tym zasługa aktorstwa. Ewan McGregor jako nieśmiały Dr Alfred Jones, specjalista od łososi, nieco nieporadny, ale pełen dobrych intencji jest po prostu uroczy. Z partnerującą mu Emily Blunt tworzą dobraną parę, ale to rola Kristin Scott Thomas przyćmiewa wszystkie postacie.

W łowieniu ryb nie chodzi o złapanie jak największej liczby ryb, ale o sam fakt łowienia. I o tym jest ten film - o łapaniu szczęścia.

reż. Luc Besson

Lady

Aung San Suu Kyi, grana w nowym filmie Bessona przez Michelle Yeoh, nazywana jest w świecie birmańskim Gandhim, a w swej ojczyźnie - po prostu Lady. Luc Besson wystawia jej spiżowy pomnik swoim filmem. I należy dodać, bardzo zasłużony. Po 50 latach panowania reżimu wojskowego w Birmie zapanowała demokracja. Co prawda, dopiero w powijkach, ale sama Aung



San skutecznie działa na rzecz tego, aby nie zmarnować tak dobrego początku.

Życiorys tej działaczki politycznej, laureatki Pokojowej Nagrody Nobla oraz wielu innych prestiżowych nagród, od dawna wołał o to, by przebieść go na ekran. Niedawne przemiany polityczne w Birmie tylko to potwierdziły. Premiera filmu Bessona i zmian w kraju Aung San zbiegły się w czasie. Z pewnością nada to filmowi dodatkowego znaczenia.

Francuski reżyser skupia się na kilku wybranych wątkach z życia birmańskiej noblistki. Nie zagłębia się też szczególnie w jej poglądy, wyodrębniając jedynie jest pacyfizm i stalowe nerwy (bywa także nazywana Stalową Orchideą). Ważny film, choć nie wybitny i nie najlepszy w dorobku Bessona.

reż. Joss Whedon

Avengers

★★★★★

Kampania reklamowa tego filmu waży więcej niż Stadion Narodowy w Warszawie. Z każdego zakątka internetu



wylewają się na nas gazyliony elektronicznych informacji w postaci posterów, screenów i rysunkowych stripów z historyjkami o bohaterach *Avengers*. Nie sposób tego objąć umysłem. A ponoć już powstaje druga część...

Niemniej jednak takiego filmu jeszcze nie było. Na jednej sali kinowej spotykają się fani komiksów Marvela, fani superbohaterów w trykotach, fani efektów specjalnych i fani Scarlett Johansson. I każdy wychodzi z seansu zadowolony. Jednym słowem, epicki mariaż marketingu żerującego na entuzjazmie fanów i rozbuchanej wyobraźni kinowej twórców filmu. Brakuje do tego jeszcze X-Menów.

Avengers nie jest filmem wybitnym, lecz cała otoczka robi z niego arcydzieło. W efekcie trudno o jednoznaczną i wyważoną ocenę, zwłaszcza stojąc oko w oko z wielbicielami superbohaterów.

Opracowała: *Karolina Joisan*

Bardzo trudny film

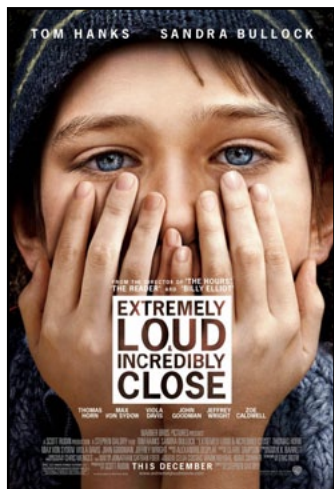
Strasznie głośno, niesamowicie blisko to adaptacja książki Jonathana Safrana Foera, twórcy okrzykniętej postmodernistycznym manifestem powieści *Wszystko jest iluminacją*. Mam ogromny kłopot z jednoznaczną oceną nowego filmu Daldry'ego. Jest on przecież autorem *Billy'ego Elliota*, którego wręcz kocham, oraz niezapomnianych *Godzin* i *Lektora*.

Problem w tym, że film jest promowany jako obraz o 11 września. O tym, jak sobie radzić w życiu osobistym i społecznym po największym zamachu terrorystycznym naszych czasów. Przez tę reklamę odbiór filmu staje

się jednowymiarowy. Gwoździem do trumny dla znaczenia tego obrazu jest fakt, że na ekranie samemu wydarzeniu poświęcono niewiele miejsca.

Niestety, Daldry tak uprościł historię opowiedzianą w książce Foera, że film na tym sporo traci. Nie dość, że z wielowątkowej, rozbudowanej historii robi się jednoaspektowy obrazek, to bohater, chłopiec Oskar Schell, który w książce był niesamowicie barwnie i zasadnie przedstawiony, na ekranie jest dzieckiem pełnym dziwactw i natręctw. Pozbawiony tego zaplecza, które zapewnia mu przestrzeń powieści, musi przekonać widza do siebie w inny sposób. I tu postaci przychodzi na pomoc aktor. Oskara zagrał Thomas Horn, pierwszy raz pojawiający się na ekranie. Jest w nim tyle naturalności i szczerości, że z łatwością zjednuje sobie przychyłność kinomanów.

Do uproszczenia materiału powieściowego w ekranizacji jesteśmy już



Stephen Daldry

*Strasznie głośno,
niesamowicie blisko*



przyswyczajeni. Ważne, by przy tym nie zgubić sensu przedstawianej historii. Daldry bardzo ogranicza liczbę postaci i wątków oraz minimalizuje znaczenie dziadków Oskara. A przecież nie tylko Oskar boryka się w swej rodzinie ze stratą bliskiej osoby. I nie tylko w ataku na WTC były niewinne ofiary. Amerykanie zaś nie zawsze są tymi niewinnymi ofiarami, potrafią być przecież równie drapieżnymi agresorami, stosującymi niehumanitarne metody eksterminacji ludności cywilnej (do historii przeszło zrównanie z ziemią niemieckiego miasta Drezno, także już wielokrotnie ekranizowane).

Strasznie głośno... powinno być odbierane jako opowieść o człowieku. Nie Amerykaninie, nie Nowojorczyku czy Niemcu. Akty terroru i agresji zdarzają się na całym świecie, nikt nie jest od nich wolny. Ale nie oznacza to, że zamykanie się w ochronnym kombinezonie i zakładanie maski przeciwgazowej uchroni przed cierpieniem. Szkoda, że Daldry nie zarysował tego problemu wyraźniej, ale uważny widz powinien odczytać szerszy kontekst tego filmu. Bo naprawdę warto.

Karolina Joisan

Burton

nie taki straszny

Oryginału, na którym wzorował się Tim Burton, kręcąc swój nowy film, nie znam. Oczywiście, orientowałam się wcześniej, co to za historia z tym Barnabasem Collinsem i czemu **Johnny Depp** tak bardzo chce go zagrać. Ale nie przywiązywałam do tego wielkiej wagi, ze względu na to, że Burton zawsze ma swoją wizję artystyczną. Nawet jeśli kręci *Alicję w Krainie Czarów*, robi to zupełnie po swojemu. Dlatego znajomość amerykańskiego serialu nie jest potrzebna do tego, by z przyjemnością oglądać **Mroczne cienie**.

Dużo bardziej przyda się przypomnienie wcześniejszych dokonań reżysera. *Sok z żuka*, *Batman*, *Edward Nożycoręki*, *Ed Wood*, *Marsjanie atakują!*, *Gnijąca panna młoda* to tylko przykładowe ty-

tuły, ale zawierają to, co w stylu Burtona najważniejsze, a co kumuluje się w *Mrocznych cieniach*.

Mianowicie estetykę z pogranicza gotyku, campu i kiczu, doprawioną jedyną w swoim rodzaju baśniową wyobraźnią.

Reżyser *Dużej ryby* jest mistrzem opowiadania znanych historii na nowo. Ze wszystkich jego filmów oryginalne są tylko *Sok z żuka* i *Edward Nożycoręki*. Podciągnąć tutaj można jeszcze *Mia-steczko Halloween*, którego był pomysłodawcą i producentem. Natomiast wszystko (dosłownie: WSZYSTKO) inne, co stworzył, jest adaptacją. Jakież to jednak adaptacje, skoro zawsze wygrywa w nich charakterystyczny styl Burtona. Jego podejście do pierwowzorów nigdy nie jest nacechowane parodią, chociaż traktuje je z przymrużeniem oka.



Tim Burton
Mroczne cienie



Do tej pory jego współpraca z upudrowanym na biało Deppem przebiegała wręcz koncertowo. Już od pierwszej roli Depp jako robot-android w *Edwardzie...* został zaangażowany przez Burtona do odgrywania zwiewnych chłopców, jakby nie z tego świata. Wtedy jednak przez warstwy pudru przebijała się wewnętrzna niewinność tych postaci. Potem przyszedł *Sweeney Todd*, a z nim rysa okrucieństwa w bohaterach granych przez Deppa. Choć Edward miał nożyce zamiast rąk, to ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zranienie kogoś. Todd natomiast nie waha się ani przez moment przed użyciem swoich ostrzy. Także Barnabas, po 200 latach leżenia w trumnie pragnie jedynie zemsty, może być nawet krwawo okupiona. Niemniej spod bla-

dego lica Barnabasa przebija czasami maniera kapitana Jacka, wypełniająca nie do końca przemyślaną kreację.

Bardzo dużym walorem ekranu są postacie kobiece, odgrywane przez Evę Green, Michelle Pfeiffer, Helenę Bonham Carter i Chloë Grace Moretz. Zwłaszcza Eva jako Angelique, bardzo pociągająca i bardzo niebezpieczna wiedźma, kradnie czas ekranowy innym postaciom.

Tim Burton może nie stworzył dzieła, które jest w stanie konkurować z obecnymi właśnie w kinach *Avengers*, ale stworzył je na własną miarę i po to, by sobie i swoim fanom dać dobrą zabawę.

Karolina Joisan

PROSTA *historia*

Francja XXI wieku nie jest już krainą mlekiem i miodem płynącą. Emigracja przybierająca monstrualne wymiary ze swoją biedą i walką o prawa obywatelskie z jednej strony, a z drugiej – przesycone przywilejami i bogactwem mieszczaństwo i wyższe sfery. Nietykalni są emigranci – nikt nie chce się nimi zająć, niech sobie wegetują, bo i tak pożytku z nich żadnego. Nietykalni są także bogacze, żyjąc w szklanych kloszach, w otoczeniu kordonu służby i grubych murów swych rezydencji.

Co by było, gdyby tak zestawić ze sobą przedstawicieli tych dwóch stanów społecznych? Życie dało im gotowy scenariusz i bohaterów. Kompletnie się od siebie różniących, ale tak samo poharatanych przez los. Wszystko ich dzieli: stan majątkowy, pochodzenie, fizyczność i umysłowość. Łączy jedno – to, że potrzebują siebie nawzajem. A ta potrzeba zamieni się z czasem w specyficzną przyjaźń.



Olivier Nakache. Éric Toledano

Nietykalni

Bogaty, ale niepełnosprawny Philippe (François Cluzet) przyjmuje do pracy w roli opiekuna młodego emigranta, Drissa. W tej roli Omar Sy, który w niezwykle naturalny sposób wciela się w swoją postać. Duet Cluzet-Sy sprawia, że ekran aż iskrzy emocjami. Sztywny gorset hipokryzji, okalający dotąd Philippe'a pęka pod wpływem szczerości młodego opiekuna. I chociaż jest on na bakier z policją, to potrafi wydobyć z siebie ukrytą szlachetność. Powoduje także, że otoczenie Philippe'a zmienia sposób patrzenia na jego niepełnosprawność.

Tym, co sprawia, że film tak łatwo przyciąga do siebie widzów, jest jego prostota. Twórcy mogli zrobić film zaangażowany, polityczny i zupełnie nieczytelny dla zwykłego odbiorcy. Zrobili jednak coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się banalne. Stworzyli wręcz modelowy komediodramat. Jednak ładunek, jaki ten obraz ze sobą niesie, waży więcej niż dziesięć innych filmów.

Twórcom udało się zachować równowagę i stworzyć film, który jest pełen francuskiego ducha, a przy tym trafia do każdego widza na świecie.

Karolina Joisan



Seriale

Smash



Po sukcesie serialu musicalowego *Glee* można było się spodziewać kolejnej produkcji tego typu. Ale poza podobną konwencją *Smash* od *Glee* mocno się różni.

Smash jest dramatem, który przedstawia proces tworzenia broadwayowskiego musicalu, opartego na życiu Marilyn Monroe. Pierwsze odcinki skupiają się na wyborze aktorki, która ma zagrać gwiazdę. Są dwie faworytki. Ivy – seksowna blondynka o krągłych kształtach, która ma już doświadczenie na scenie Broadwayu, ale pragnie roli pierwszoplanowej. Jej rywalką jest Karen – skromna, piękna dziewczyna o mocnym głosie, która przyjechała z Iowa do Nowego Jorku, aby realizować marzenia. Związuje się między

nimi ostra rywalizacja, trwająca nawet po wybraniu aktorki do głównej roli.

Rywalizacja jest zawsze silną niścią, która trzyma widza przy ekranie, zwłaszcza w przypadku gdy nie ma „tej złej”, a widz nie wie, po której stanąć stronie. Jednak serial oferuje o wiele więcej. Realny ciężar wydarzeń leży po stronie serialowych twórców musicalu. Para artystów, którzy od dziesięciu lat z powodzeniem tworzą razem piosenki i przedstawienia – Julia (Debra Messing) i Tom (Christian Borle); seksowny, sarkastyczny reżyser z brytyjskim akcentem – Derek (Jack Davenport); producentka Eileen (Anjelica Huston), która zмага się z rozwodem i brakiem pieniędzy. Są to silne osobowości stworzone przez bardzo dobrze dobranych aktorów. Ich wzajemne kontakty, relacje między aktorami oraz z ich rodzinami / partnerami, tworzą „pajęczynę”, która ma potencjał, by ewoluować w przyszłych sezonach – nawet gdy praca nad musicaliem o Marilyn już się zakończy.

Mimo że akcja krąży wokół jednego projektu, to stylistyka muzyczna jest bardzo zróżnicowana. Oprócz aranżacji typowo broadwayowskich, w różnych scenach filmu poza próbami można usłyszeć całą gamę różnorodnych gatunków muzycznych – covery znanych popowych piosenek, aranżacje elektroniczne i rockowe, a nawet country.

Odcinek pilotowy wypadł wyjątkowo dobrze – najlepszy pilot seria-

lu ostatnich miesięcy. Po pierwszym odcinku bardzo ciężko nie sięgnąć po kolejny. Dla osób, których nie irytuje konwencja musicalu, *Smash* jest pozycją obowiązkową.

*Don't Trust the B*tch in Apartment 23*



Z pozoru naiwna blondynka June przeprowadza się do Nowego Jorku, by pracować w korporacji hipotecznej. Jest to praca jej marzeń, a firma zapewnia piękne duże mieszkanie. Jednak pierwszego dnia pracy okazuje się, że z powodu oszustw właściciela korporacja zostaje zamknięta, a apartamenty pracowników przejęte. June musi więc szybko znaleźć inne lokum. Wprowadza się do mieszkania pewnej artystki – Chloe. Gdy June ogląda jej mieszkanie, Chloe odwiedza sławny przyjaciel – James van Der Beek (znany przez wszystkich lowelas Dawson z *Jeziora marzeń* gra tutaj samego siebie).

Po krótkim czasie okazuje się, że artystka jest wielką oszustką, zawy-

ża lokatorom czynsz i nie stroni od różnych przekrętów, powodując, że wszyscy lokatorzy uciekają po kilku dniach. June okazuje się jednak twardą sztuką i nie poddaje się tak szybko. W odwecie sprzedaje wszystkie meble Chloe. W ten sposób rozpoczyna się niekonwencjonalna przyjaźń dwóch dziewczyn, w której pierwsze skrzypce grają nieczyste zagrywki.

Pomimo iż serial opiera się na kontrowersyjnych zachowaniach Chloe i teoretycznie powinien zaskakiwać, to akcja jest monotonna. Bohaterowie i dialogi są mało interesujące. Postać Jamesa van Der Beeka mogłaby być sposobem na zabawienie się koncepcją aktora jednej roli. Niestety van Der Beek nie nadaje się do występowania w komediach. Odgrywa jedynie postać ładnej, sztywnej miotły. Aktorki wcielające się w June (Dreama Walker) oraz Chloe (Krysten Ritter) poprawnie odgrywają swoje role, ale same postacie nie wnoszą wystarczająco wiele do akcji.

Oprócz tych bohaterów pojawiają się jeszcze: Robin – sąsiadka, która ma bzika na punkcie Chloe, Eli – sąsiad, który podgląda dziewczyny i od czasu do czasu powie jakiś żenujący tekst, oraz Mark – pracownik kawiarni, w której przez jakiś czas zatrudniona jest June. Żadne z nich nie jest ani charakterystyczne, ani zabawne. Tak jak tytuł sugeruje, nie ufam B*tch z apartamentu 23 (że mnie kiedykolwiek rozśmieszysz).

Pierwszy sezon ma tylko 7 odcinków. Premiera miała miejsce w telewizji ABC 11 kwietnia. Koniec sezonu 23 maja.

New Girl



Aktorka Zooey Deschanel jest wyróżniającą się osobowością w Hollywood. Jej ubiór i fryzura sprawiają, że wygląda jakby została porwana z lat 60. i osadzona w naszych czasach. Grywa w filmach hollywoodzkich (najbardziej znane produkcje: *Yes Man*, *300 dni miłości*), śpiewa w zespole She & Him oraz udziela się w kabarecie. Ponadto wszystko to robi bardzo dobrze. Teraz gra główną bohaterkę serialu *New Girl* – Jess.

Jess, zwariowana, gadatliwo-śpiewająca nauczycielka kochająca ludzi, przyłapuje na zdradzie swojego wieloletniego chłopaka. Szukając dla siebie nowego miejsca, postanawia wprowadzić się do mieszkania trzech mężczyzn: Schmidta, Nicka i Winstona. Próbuje odnaleźć się w nowej sytuacji po rozstaniu, a pomagają jej w tym ciekawe osobowości i szalone perypetie współlokatorów.

Chociaż to Zooey Deschanel grająca Jess przyciąga widzów do oglądania sitcomu, to reszta bohaterów – współlokatorzy i dodatkowo przyjaciółka Jess – są tak dobrze wykreowani, że momentami można zapomnieć, kto jest główną postacią w tej historii. Szczególnie uwagę przyciąga Schmidt – pedantyczny, metroseksualny, z obciachowymi tekstami, który jest tak irytujący, że aż ciekawy.

Serial jest bardzo lekki, choć czasami porusza ciężkie tematy. Poza tym jest tak zabawny i barwny, że chętnie się po niego sięga. Niektóre sceny na długo zostają w pamięci, powodując niekontrolowane ataki śmiechu w najmniej oczekiwanych momentach. Inne z kolei są przesłodzone, jak na przykład moment, w którym współlokatorzy bohaterko rezygnują z długo oczekiwanej imprezy, by poprawić humor Jess, chociaż znają ją zaledwie od kilku dni. Ale można przymknąć oko na te szczegóły, bowiem jest to naprawdę rozrywka na wysokim poziomie, pełna abstrakcyjnego humoru w dobrym wydaniu.

Serial miał premierę w sierpniu 2011 w telewizji Fox, w Polsce za pomocą nTV można go oglądać od grudnia 2011. Pierwszy sezon, według rozkładu stacji Fox, zakończył się 8 maja na 24. odcinku.

Opracowała: Alicja Bisewska

PREMIERY

książkowe

Carlos Ruiz Zafon

Więzień nieba



Do *Cienia wiatru* dość długo się przymerzałem. Jakoś tak mam, że co nazbyt popularne niezbyt mnie nęci. Lecz kiedy zacząłem czytać, natychmiast zrozumiałem, czemu ta książka cieszy się takim powodzeniem, a wszyscy wokół mówią o niej co najmniej z zachwytem.

Więzień nieba to kontynuacja tamtego bestselleru. Kontynuacja nieco mniej okazała, ale jeśli dobrze rozumiem intencję autora – idzie o jakość. A jakość prozy dorównuje *Cieniowi wiatru*. Sam pisząc, patrzę na tak wycezylowane zdania i akapity z zazdro-

ścią, bo to robota najwyższej próby! Kto spodziewa się, że zacznę powieść opowiadać i zdradzę coś z fabuły, ten się myli i to grubo. Nic nie zdradzę, po prostu polecam. Kto czyta nie błądzi, a kto czyta Zafona, obcuje z literaturą najwyższych, aczkolwiek popularnych lotów.

Igor Ostachowicz

Noc żywych Żydów



Wydawać by się mogło, że więcej z tą książką zamieszania niż jest tego warta. Jednak osąd ten szybko zweryfikowała lektura – od pierwszych zdań znać, że

pisał to człowiek, który na co dzień słowa nagina, wyszykuje, waży i układa we frapujące zdania.

Już sam bohater jest zdumiewający. Łamie wszelkie szablony, schematy tworzenia literackiego ideału. Ze względu na jego bezmienność można by pomyśleć – oto powieść nawiązująca do Kaffki, ale gdzie tam. Historia, ta mała i ta wielka, bo powiązana z Holocaustem, toczy się wartko, prawie przygodowo, lecz zawsze z jakimś sensem, pogłębiona. Żyjący pod zie-

mią Żydzi – zombie nasunęli mi wiele skojarzeń z popkulturą, humor, jeśli można tu mówić o humorze – bliski filmowi *Iron Sky*.

Przewrotna, dziwna, inna książka. Pewnie dlatego tak łapczywie się ją czyta.

Willingham. Buckingham. Leialoha. Allred. Pepoy

Baśnie. Synowie Imperium

Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto Grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostszą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy



Komiksy w sensie treści, opowiadanych historii już od dawna w niczym nie ustępują dobrym powieściom. A może nawet je czasem przewyższają – warstwa ilustracyjna *Baśni* to prawie odrębne dzieło.

Tym razem Bill Willingham opowiada aż 15 krótszych historii, których akcja, czas i miejsce toczy się w Baśniogrodzie. Żadne to jednak naiwne bajki, choć nawiązania do nich też są obecne. To opowieści z ukrytym sensem, powiązane ze sobą w pewien wy-

rafinowany sposób. Warto znać całości „cyklu”, mimo że każdą historię narysował inny rysownik. Style dostosowane do konkretnych opowiadań, ale autorskie zacięcie w kadrach widoczne i wzbogacające całość. *Baśnie* to intelektualna zabawa, lektura na wielu poziomach: konteksty, nawiązania, oryginalność, warsztatowa sprawność oraz wewnętrzny urok samych historii.

Przyjemność obcowania z takim komiksem gwarantowana.

Philip K. Dick

Doktor Bluthgeld

★★★★★★★★



Powieść, która jest tak dobra, że powiedzieć o niej „ponadczasowa” oraz „ponadgatunkowa” to o wiele za mało.

Biograf pisarza – w swojej subiektywnej ocenie – dał *Doktorowi Bluthgeld* – dziewięć gwiazdek na dziesięć. Czytałem biografię – wyśmieniał! – pióra Lawrence’a Sutina i czytałem Dicka – chyba (prawie) wszystko. Daję dziesięć.

Mimo że powieść ta powstała w 1965 roku, pozostaje aktualna do dziś i zapewne długo tak będzie. Być może to i najbardziej hard science-fiction z powieści science-fiction Dicka, ale to właśnie w *Doktorze...* widać, że dla pisarza science-fiction to tylko scenografia. Z jednej strony pewna opresja, sytuacja dla bohatera, tło, figura, koncept. A z drugiej, pod spodem fabuły widać, że science fiction to tylko metafora, przenośnia, pewien symbol, z którego pełnymi garściami Dick czerpie, by dociec jakieś prawdy o człowieku (o sobie samym?). A jak o człowieku to o każdym z nas, prawda? Nie jest to jednak takie proste. Dick nie tworzył dla intelektualnych leni, powieść trzeba umieć odczytać na różnych poziomach literackiej gry. I właśnie gdy przypominałem ją sobie, dotarło do mnie, jak niewiele rozumiałem podczas poprzedniej przygody z tą książką. Dlatego bez wahania daję dziesięć, czyli najwyższą alterpopową notę.

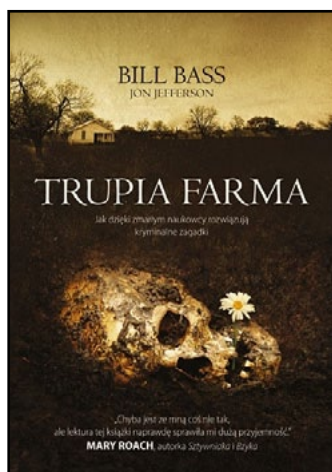
A kto chce z moim werdyktem dyskutować – niech się zapozna i przedstawi mi argumenty.

Bill Bass. Jon Jefferson

Trupia farma. Jak dzięki zmarłym naukowcy rozwiązują kryminalne zagadki

★★★★★★

Na filmach, szczególnie w serialach – hiperinteligentny śledczy, jeśli tego akurat wymaga od niego fabuła, ledwie spojrzysz na zwłoki i już wiesz kto, w jaki sposób i dlaczego zabił. Faktycznie sprawy mają się trochę inaczej. Dramatyczniej. Dla wielu – niestrawniej.



Jako wielki fan wszelkich produkcji o „zombie” z przyjemnością czytałem *Trupią farmę*. To nie jest książka o zombie, lecz cienie ich postaci jak najbardziej tu odnalazłem. Bill Bass prowadzi projekt dość wyjątkowy. Gromadzi zwłoki. Jednak nie dla przyjemności czy czynów nierządnych, lecz by zbadać, jak za ich pomocą można udowodnić tę czy inną zbrodnię. Ba, nawet się udało niektórym bandytów srodze ukarać! A we wszystkim pomogli... zmarli. Nie kryję, lektura pasjonująca i wartościowa, ale kolacji czy innego posiłku to lepiej przy niej nie spożywać.

Książkę polecam szczególnie wszystkim przejętym sprawą Madzi z Sosnowca oraz bezmyślnym fanom (nie)detektywa Rutkowskiego. Trzeźwiąca lektura, wykazująca, że zbrodnia, śledztwo i kara to żmudny proces, a nie prymitywny show, cyrk przed kamerami.

James Brabazon

Mój przyjaciel najemnik



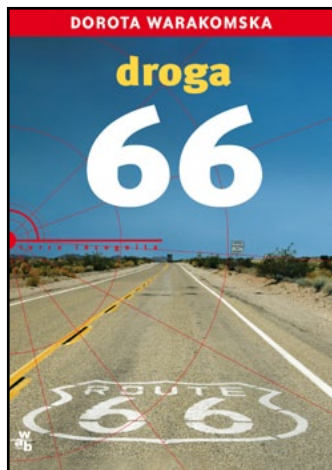
Oczywiście, że znam *Psy wojny*. Powieść ta fascynowała mnie kiedyś w sposób czysto emocjonalny. Dziś, wracając do niej, zastanawiam się – ile w niej było prawdy, a ile wymysłów. Pewnie też dlatego tak chętnie sięgam po książki faktograficzne z pierwszej linii boju.

Książkę Brabazona czyta się jak najlepszą powieść sensacyjną, ale jest od nich o wiele lepsza. Autor opisuje fakty, swoje przeżycia oraz prawdę, prawdę i tylko prawdę. A nawet jeśli gdzieś napisał nieprawdę, to nie mam możliwości tego zweryfikować. Jednak Brabazon to dziennikarz, a nie pisarz, więc ufam mu w dużym stopniu. *Mój przyjaciel najemnik* to wielopoziomowa historia o relacjach, wojnach, konfliktach, starciach, ludziach o skrzywionej psychice i ludziach zwykłych. Ci ostatni mają najgorzej, muszą sobie jakoś w tym całym piekle radzić.

Materiał na film, który nawet jeśli by trwał trzy godziny, nie będzie nudził nawet sekundy.

Dorota Warakomska

Droga 66



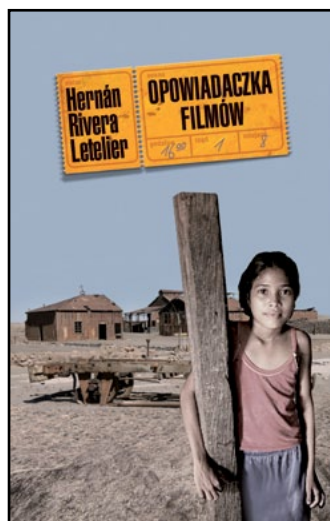
Route 66 – ileż to piosenek o niej napisano? W ilu planach filmowych wystąpiła? Droga 66 to nie tylko szosa w poprzek USA, to symbol, archetyp, mit. Zarazem – historia państwa opisana losami zwykłych ludzi.

Autorka jest dziennikarką i mimo że odnotowała kilka sukcesów zawodowych, to zdecydowała się na książkę bardziej literacką niż reporterską. Wiele w jej pisaniu emocji. Ale jakże się tu nie emocjonować, skoro na każdej mili może coś nas zaskoczyć. Podróż z Warakomską to poznanie ludzi, miejsc i niepowtarzalnego klimatu Stanów Zjednoczonych. Podróż swą opatrzyła zdjęciami – i jeśli w trakcie lektury miałem wątpliwości, czy Amerykanie są „normalni”, to patrząc na zdjęcia, nie miałem ich już wcale. To najbardziej pojechany naród na Ziemi!

Czekam na premię od naczelnego, wizję już mam. Wynajmę samochód i też przejadę całą Route 66. Ta książka mnie zainspirowała, muszę zobaczyć ten szlak i tych wszystkich freaków na własne oczy.

Hernan Rivera Letelier

Opowiadaczka filmów



Literatura pochodząca z Ameryki Południowej chyba już zawsze będzie naznaczona jakimś rodzajem „magii”. Oczywiście, znam definicje i klasyfikacje, ale i tak w pisarstwie tamtejszych autorów jest coś nieuchwytnego, czego nie potrafią naśladować nawet najlepsi Europejczycy.

Krótką w formie i głęboką w treści powieść to historia prowincji i zwykłych ludzi, którzy starają się jakoś przetrwać w biedzie. Centrum wydarzeń jest, jak zwykle, miejsce magiczne – kino. Mała Maria Margarita, najmłodsza z pięcioroga rodzeństwa, spędza tam stanowczo

zbyt wiele czasu, ale na szczęście ma pewien unikatowy w skali osady talent. Wynikają z tego pewne perypetie... które niekoniecznie muszą prowadzić do szczęśliwego zakończenia.

Taka nawet niezbyt obszerna powieść, a ma w sobie surrealizm, połączony z przenikliwymi spostrzeżeniami natury obyczajowej. Wciągające od pierwszej strony.

Eric Lax

Woody Allen – rozmowy



Gdy grają w kinach film Woody'ego Allena, na forach internetowych bardzo często pojawia się zdanie: „najnowszy film Allena jest za mało allenowski”. Na co natychmiast podobna w liczbie grupa osób odpowiada zajadle: „Nieprawda! Najnowszy film Allena jest za bardzo allenowski”. A ja pękam za śmiechu, bo to rozmowa, którą sam Woody mógłby wymyśleć.

Tom niniejszy to zapis wywiadów, jakie dziennikarz E. Lax przeprowadził z reżyserem na przestrzeni lat 1971–2007.

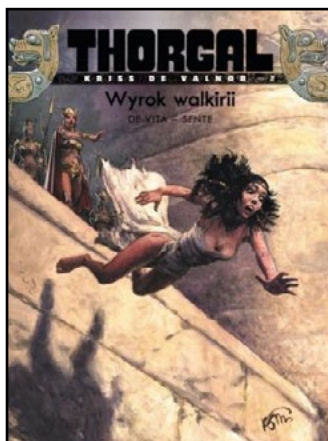
Można spokojnie stwierdzić, że ten tom to bardzo allenowski portret Woody'ego Allena. Nieorientowanych informuję, że Allen bardzo niechętnie udziela wywiadów. Ktoś musi zdobyć jego zaufanie, by zechciał poświęcić mu czas na rozmowę. Laxowi się udało i dzięki temu obserwujemy ewolucję artysty według samego siebie. Z rozmów dowiadujemy się nie tylko wiele o życiu Allena, jego charakterze, nieposkromionym temperamencie, zainteresowaniach muzycznych, ale również o warsztacie filmowym, historii kina, współpracownikach i życiowych partnerkach. Allen prowadzi życie tak bogate, że mógłby nim obdarować kilkanaście innych osób.

To najbardziej allenowska książka, w dodatku z Woodym Allenem w roli głównej.

De Vita. Sente

Thorgal. Kriss De Valnor.

Wyrok walkirii



Szwarc charakter, czyli kobieta na schwał okazała się nie być walkirią, ale i tak ma za swoje.

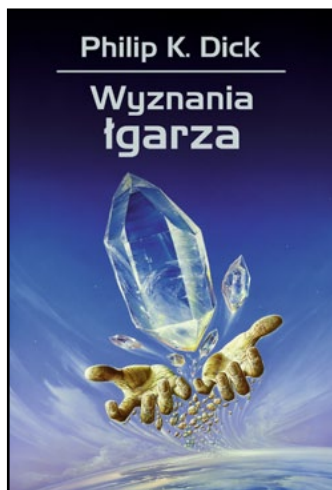
Kriss De Valnor to kontrowersyjna bohaterka thorgalowej serii, a teraz już podserii – jej dedykowanej. I dzięki właśnie tej podserii poznajemy ponętą De Valnor od młodości do „czasu bieżącego”, czyli momentu, w którym dzieje się akcja albumu i serii. Nie miała dziewczyna łatwego życia, o nie! I to jest właśnie siła tej komiksowej historii. Odczytuję ją bowiem jako manifest profeministyczny. Kriss musi borykać się z sytuacjami, które dziś uchodzą za przestępstwo, ale na przykład w Polsce nie są ścigane z urzędu. Mamy więc przygodową historię opowiedzianą w dynamiczny, a atrakcyjny sposób, lecz i jakieś głębsze przesłanie – dziewczyny powinny walczyć ze złem, które je spotyka, w sposób bezkompromisowy! I ja się z tym całkiem zgadzam, nie tylko dlatego, że jestem fanem *Thorgala*.

Oczywiście, trochę to przerysowane, ale to przecież komiks.

Philip K. Dick

Wyznania łgarza

♦♦♦♦♦♦♦♦



Ponoć to powieść Dicka, która jest najczęściej pomijana przez czytelników. Nie rozumiem czemu. To przecież Dick doprawdy literacko „szczytujący”.

Zaskoczeniem dla fanów science-fiction może być fakt, że to nie powieść fantastyczna. Owszem, pewne elementy scenografii się pojawiają (obcy, kontakty z nimi), lecz to tylko fantazmaty głównego bohatera – Jacka Isidore’a. Z dość udanego wstępu (pióra Rafała Nawrockiego) dowiadujemy się, że Dick postanowił udowodnić, że potrafi napisać powieść (jemu) współczesną, wręcz obyczajową. Udało się, książka jest wyborna, lecz może miłośnicy prozy Dicka poczuli się oszukani? Nie powinni – moim zdaniem Dick nie potrafił wyzwolić się od pewnych manii, obsesji i własnych szaleństw. Inaczej nieco podszedł do konstrukcji bohaterów i przez to ich zachowań. Jest to jednak nadal ten sam Dick, który napisał *Trzy stygmaty Palmera Eldricha*, *Valis* czy *Blade Runnera*. Oczywiście, powieść to nie tylko błaha fabuła z przedmieścia. Jak zwykle Dick dręczy nas pytaniami, zagadkami i wątpliwościami. Taka proza nawet już po skończonej lekturze zostaje w głowie na dłużej.

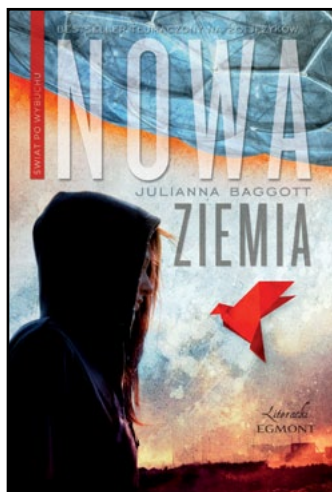
Po raz kolejny napiszę: rebisowska edycja dzieł Dicka, wzbogacona ilustracjami W. Siudmaka, to prawdziwy skarb dla bibliofila.

Julianna Baggot

Nowa ziemia

♦♦♦♦♦♦

Postapokaliptyczna powieść traktująca o tym, co mawiał Kochanowski: „nie trać nadzieje, jakoć się kolwiek dzieje”.



Wzorem dla tego typu prozy (pomiągając stare, „klasyczne” powieści science-fiction) jest *Droga* McCarthy’ego. Sposób, w jaki opisał świat po zagładzie, na długo pozostaje w pamięci, a może i podświadomości. Jak ktoś nie lubi czytać, to niech choć obejrzy film – też wstrząsający.

Baggot jednak potraktowała temat z większą dawką pozytywnego myślenia. W jej świecie po zagładzie jest nadzieja, gdyż ludzie schronili się pod Kopułą. Bohaterka, nastoletnia dziewczyna, dzielnie przemierza pustkowia, pokonuje przeszkody, a nawet poznaje swą pierwszą miłość, by jednak jakoś ulepszyć swoje życie. Wydawać by się mogło, że skoro czasy zimnej wojny za nami to już takie strachy nikogo nie przestraszą. A tu proszę – strachu może podczas lektury nie odczułem, ale pewien nieuchwytny klimat zagłady, jako wrażenie, pozostał.

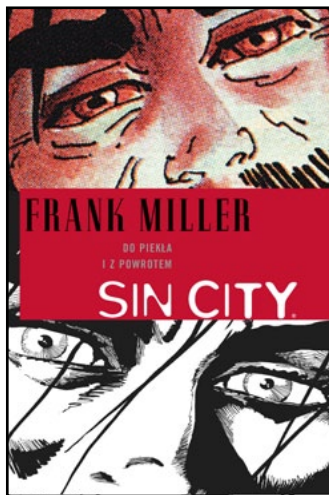
Nauczyciel od PO (przysposobienie obronne – wyjaśniam, bo nie wiem, czy jest jeszcze taki przedmiot) uczył, by na wszelki wypadek mieć w domu świece, mydło, cukier, mąkę, zapas

wody, baterie i inne przydatne w razie wojny przedmioty... Może jednak go posłuchać?

Frank Miller

Sin City,

t. 7: Do piekła i z powrotem



Nareszcie! Siódmy, jak dotychczas ostatni tom *Sin City* ukazał się w twardej oprawie. To komiks, który jest tak dobry, że trudno wyobrazić sobie lepszy.

Sin City to miasto, gdzie łatwo dostać kulkę w plecy, kosę w nerki, stracić portfel lub majątek, ukochaną lub honor. Oczywiście, trzeba też wiedzieć z kim trzymać, a kogo obchodzić z daleka. Bohater *Do piekła i z powrotem* wiodł spokojne życie, aż do momentu gdy spotkał piękną nieznajomą. Potem jest już tylko coraz bardziej tajemniczo, groźnie i widowiskowo. Ciężko słowami opowiedzieć historię zaklętą w tym albumie, ponieważ to rysunek, kreska oraz dominująca czerń tworzą

jedyny, niepowtarzalny i nieporównywalny z niczym innym klimat historii z Miasta Grzechu. To nie tyle komiks, co mroczny kryminał – dosłownie i w przenośni. Ten ciężar gatunkowy odczuwa się przy lekturze, lecz fabuła fascynuje i wciąga tak, że nie sposób się oderwać. Cała seria *Sin City* to komiksowe dzieło sztuki.

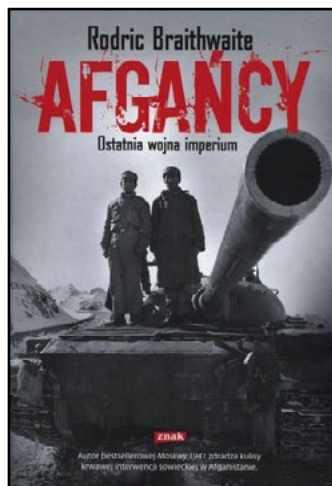
Pisałem już z tysiąc maili do twórców filmu *Sin City* (będącego adaptacją pierwszych tomów komiksu) i, cholera, nadal nie zrobili drugiej części. Pora wysłać im jakiegoś cyngla.

Rodric Braithwaite

Afgańcy.

Ostatnia wojna imperium

★★★★★★



Chyba nie ma dnia, by w wiadomościach nie pojawił się Afganistan. Wiadomo – wojna. Nic tak nie ożywia serwisu jak świeże trupy.

Ale newsy w mediach to za mało, by zrozumieć, że jest tam tak, jak

jest. Lukę może uzupełnić ta wybor-na książka. *Afgańcy* niby są o rosyjskich weteranach, ale nie do końca. Autor bowiem przedstawia przebogaty kontekst polityczno-historyczny. A wszystko opisał językiem tak żywym i barwnym, że mimo ponad 400 stron oraz dużej liczby faktów czyta się to jak fascynującą powieść. Na okładce wydawca umieścił cytat: „Każda strona wygląda jak ostrzeżenie dla obecnych okupantów Afganistanu”. To bardzo prawdziwe stwierdzenie. Afganistan to kraj, który chyba nigdy nie da się ujarzmić. Dzikość jego mieszkańców to najlepszy sposób obrony przed kolejnymi kolonizatorami, którzy jak zwykle „przybędą w pokój”.

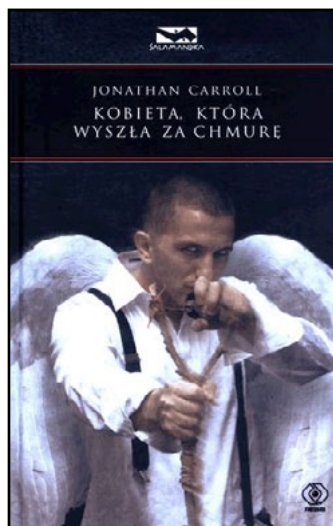
Krew, pot, radzieckie przekleństwa i helikoptery szturmowe, afgańskie góry i mudżahedini. Do tego przemoc. Rozrywanie człowieka na strzępy to częsta kara dla tego, kto porwie się na afgańską tłuszczę.

Opracował: Dawid Brykalski



Konkurs

2x

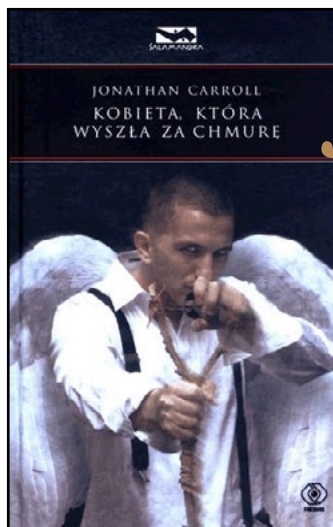


15 lipca rozdamy czytelnikom:

2 egzemplarze drukowane

Wystarczy wysłać na adres
konkurs@alterpop.pl
odповідź na proste pytanie:

**Którą książkę
Jonathana Carrolla
lubisz najbardziej?
Odpowiedź uzasadnij**



fragment

Jonathan Carroll

Kobieta, która wyszła za chmurę

Dom na wyzyńie

Nie wiem dokładnie, kiedy to się zaczęło. On mi nie powiedział, a ja nie umiem czytać w ludzkich myślach. Nie jestem też zbyt spostrzegawcza, przyznaję się bez bicia. Biorę życie takim, jakie jest. Patrzę bezkrytycznie na paradującą przede mną defiladę; nie identyfikuję graczy za pomocą lornetki ani tablicy wyników. Nie obchodzi mnie, czy mają szyte na miarę kostiumy, jeśli dobrze wyglądają z daleka. Co z tego, że ten klaun kręci na boku z sąsiadką? Ważne, że daje dobrą rozrywkę. Nie wyróżniam się z tłumu niczym szczególnym: piszczę z zachwyty na widok ruchomych platform, biję brawo królowym piękności i zwycięskim drużynom, łażę kręci mi się w oku, gdy orkiestra dęta zaczyna grać hymn państwowy.

A zatem nie: nie dawałam sobie sprawy, że z moim mężem – że w naszym życiu – dzieje się coś złego, dopóki nie odkryłam, czym się zajmuje.

No, ale byliśmy małżeństwem od jedenastu lat. Wspólne życie sprawia, że po jakimś czasie przestaje się zwracać uwagę na pewne rzeczy. Tak dzieje się przeważnie, choć żona i mąż bardzo się kochają. Kłębki włosów znalezione w umywalce, dykteryjki opowiadane po raz setny albo fakt, że ona lub on jedzą z otwartymi ustami. Znamy doskonale te przypadłości – godzimy się na nie, lekceważymy je albo chcąc nie chcąc akceptujemy, ponieważ składają się na naszą życiową ucztę, w której dobrowolnie uczestniczymy z naszym partnerem. Małżeństwo to nie tylko słodki deser.

Zdradził go aparat fotograficzny. Musicie wiedzieć, że mój mąż nie jest człowiekiem niechlujnym. Nie rozrzuca przedmiotów na lewo i prawo, zwłaszcza jeśli są to rzeczy wartościowe albo kruche – jak ten aparat. Nazwałabym go pedantem. Jego książki i płyty leżą w porządku alfabetycznym. Wszystko musi być na swoim miejscu. Czy więc

zostawił aparat po to, żebym go odnalazła? Czasami tak myślę.

Przepraszam, odbiegam od tematu.

W tamtą sobotę byłam w mieszkaniu sama, gdy po wejściu do salonu zobaczyłam leżący na stoliku srebrnoczarny cyfrowy aparat fotograficzny, którego przedtem nie widziałam. Małe cudeńko techniki. Niemieckie. Do kogo należał? Była to tak zwana „małpa”, czyli prosta w obsłudze idiotenkamera. Włączyłam go i przewinęłam zapisane zdjęcia. Było ich kilkanaście. Przedstawiały rusztowania albo miejskie widoki uchwycone z lotu ptaka. Musiano je wykonać z dużej wysokości.

Alan przyszedł godzinę później. Kiedy go zapytałam, skąd wziął się ten aparat, zgarnął go nonszalanckim gestem i oznajmił, że jeden z klientów zostawił go w biurze po zebraniu. Alan zamierzał zadzwonić do niego i poinformować o zgubie. Powiedziałam mu, że obejrzałam zapisane tam zdjęcia; wzruszył tylko ramionami. Spytał, co to za fotki i co o nich myślę. To jakies rusztowania, odparłam. Mało ekscytujący temat. Uśmiechnął się i zapytał, czego się spodziewałam. Bo ja wiem... – zastanowiłam się. Może jakichś bezceństw?

Wrzucił aparat do kieszeni i tyle. Gdy po ładnych kilku tygodniach zobaczyłam aparat ponownie, zawierał on dużo więcej zdjęć.

Alan zachowywał się normalnie. Niekiedy wychodził rano do pracy ubrany nie całkiem odpowiednio – w zwykłe luźne rzeczy, bez garnituru i krawata. Gdy go o to spytałam, wyjaśnił, że tego dnia nie musi być w sądzie i że czeka go w biurze trochę papierkowej roboty.

Zgoda, nie brzmi to zbyt przekonująco, ale każde z nas żyje własnym

życiem. Mamy swoje sprawy i plany. Dopóki nic ich nie zakłóca, nie zwracamy sobie głowy rozważaniami, co nasz partner robi w ciągu dnia. Zwłaszcza po tylu latach. Być może tuż po ślubie przerwałabym poranne zajęcia i zaczęła się zastanawiać, czym mój mąż zajmuje się w tej chwili. Wówczas jednak słowo „mąż” weszło dopiero do mojego słownika i miało tak słodki smak, że nie mogłam się nim nasycić. Z upływem lat wszystko to wiadnie. Byłam wdzięczna losowi, że widok Alana wracającego do domu wciąż budzi we mnie radość; nadal wiele nas łączyło i mieliśmy o czym rozmawiać. Nie wiem, co znaczy szczęście, ale wydaje mi się, że byliśmy szczęśliwi. Wielu naszych przyjaciół rozwiodło się lub co gorsza, żyło pod jednym dachem, nie odzywając się do siebie słowem. Alan i ja żyliśmy inaczej. Wieczorami przeważnie rozmawialiśmy, zamiast gapić się w telewizor albo rozstawać po kolacji. Czekaliśmy niecierpliwie na weekendy i dni wolne od pracy, by z sobą pobyć, tylko we dwoje. Zwróćcie uwagę, że nie bronię się ani nie szukam usprawiedliwień. Kochałam Alana – ale co bodaj ważniejsze, bardzo go LUBIŁAM i świetnie czułam się w jego towarzystwie.

Wszyscy mamy swoje tajemnice, ale skoro nie dotyczą one twojego partnera, trudno mówić, że są szkodliwe, prawda?

Przed odkryciem rusztowania Alan Harris nie miał żadnych tajemnic. Od czasu do czasu onanizował się, dłubał w nosie albo mówił niegroźne kłamstewka. Zakładał, że wszyscy tak robią, więc nie uważał tego za tajemnicę. Według niego sekret był czymś wstydlivym i wyjątkowym, co człowiek

skrywa przed innymi ludźmi. W wieku czterdziestu dwóch lat Alan nie przejmował się tym, co inni o nim wiedzą, bo był święcie przekonany, że nie ma nic do ukrycia. Lubił swoją żonę i był jej wierny. Wiódł dostatecznie satysfakcjonujące życie, by nie marzyć o innym. Pieniądzy mu nie brakowało; kiedy miał na coś ochotę, kupował to. Coraz rzadziej jednak miewał ochotę. Był nie tyle człowiekiem szczęśliwym, ile wygodnie urządzonym – i to mu wystarczało. Był prawnikiem. Prawnicy żyją za pan brat z kompromisem.

Ktoregoś przedpołudnia, mówiąc przez telefon, wyjrzał przez okno i zobaczył, że po drugiej stronie ulicy, przed zmurszałym budynkiem, wznoszono metalową konstrukcję. Ekipa kilkunastu robotników zabierała się do montażu rusztowania, które miało pokryć fasadę gmachu niczym zewnętrzny szkielet. Dopiero wtedy miały się zacząć właściwe prace remontowe.

Dwie czerwone ciężarówki z dźwiękiem wyładowały z platform ogromne, ciasno związane paczki z elementami rusztowania. Robotnicy rozwiązali je i stanawszy na różnych poziomach, podawali sobie kolejne elementy. Harris przyglądał im się z przyjemnością. Cieszył się, że ludzie mają pracę, że budynki poddaje się remontom – nazywał je w myśli „leczeniem” – i że miasto, które tak bardzo lubił, nabiera życia.

– Na co patrzysz? – zapytała sekretarka. Weszła do biura, gdy tylko odłożył telefon i wciąż stojąc w oknie, obserwował pracujących robotników.

– Uwielbiam patrzeć, jak budują rusztowanie. Widziałas to kiedyś, od początku do końca?

Podeszła do niego; oboje milczeli, śledząc postępujące na dole prace.

Stalowe rury wędrowały z ręki do ręki. W ruch szły narzędzia. Wykrzykiwano jakieś instrukcje, które nie przebijały się przez podwójne szyby w oknach biura. W końcu sekretarka uśmiechnęła się półgębkiem, wzruszyła ramionami i wyszła. Harris poczuł ukłucie złości. Czy to obojętność czy brak zainteresowania? Dlaczego nie potrafi docenić ich wysiłków? Czy jest ślepa? Przecież ci ludzie pracują nad czymś, co zmieni oblicze całej dzielnicy. Są fachowcami, znają się na swojej robocie; wiedzą, które narzędzie wydobyć z szerokiego skórzanego pasa, o który element poprosić. Harris był ciekaw, jak nazywają się poszczególne części. Czy wywołuje się je numerycznie: „Hej, daj mi ósemkę”? Czy też noszą konkretne nazwy: wsporniki, złącza, kotwy.

Tamtego wieczoru pracował do dwudziestej. Był zmęczony, głodny i sfrustrowany papierkową robotą związaną ze sprawą, która stała w miejscu, a jednak pochłaniała mnóstwo jego czasu. Problem z prawem polega na tym, że roi się w nim od kruczków, luk i haczyków, tak iż można całymi latami plątać się po tych labiryntach i wciąż nie trafić do wyjścia. Leżało to wprawdzie w interesie jego kancelarii adwokackiej, która liczyła sobie od godziny, ale ten niekończący się proces odbierał motywację, sprawiał, że nie chciało się rano przychodzić do pracy. Naciągając ze znużeniem płaszczy, Harris raz jeszcze powrócił myślami do rusztowania i mężczyzn, którzy je wybudowali. Wiedzieli dokładnie, kiedy ich praca dobiegnie końca. Montaż, demontaż, przeprowadzka. Ich codzienne życie składało się z początku, środka i końca. Cynik odpowiedziałby na to: „Jasne, ale to harówka dla fizycznych i byle głupek może taką robotę

odwalić". A jednak w takie wieczory jak ten Harris im zazdrościł, choćby i byli głupkami. Od rana pracowali na dworze, kończyli o piątej, po czym myli się i schodzili z powrotem do miasta, któremu pomagali się „wyleczyć”. Wpadali z kumplami do baru na kilka głębszych i gawędzili, mając świadomość, że zrobili dziś kawał dobrej roboty i że uporają się ze wszystkim w tydzień.

Na zewnątrz panował chłód i Harris podniósł kołnierz płaszcza. Celowo nie wziął z biura teczek, bo gdyby ją zabrał, pracowałby również w domu; w końcu człowiekowi należy się nieco odpoczynku. Stojąc na chodniku, Harris usiłował zdecydować, czy powinien najpierw coś zjeść, czy też kupić po drodze kolację, którą zje w domu. Uśmiechnął się na myśl o styropianowym pudełku wypełnionym ciepłą, smaczną chińszczyzną na wynos. Oczami wyobraźni ujrzał żonę przynoszącą mu zimne meksykańskie piwo z lodówki i siadającą naprzeciw niego – szczęśliwą, że wrócił do domu. Myśląc o tym, bezwiednie gapił się na plac budowy. Nagle jakby oprzytomniał – rozejrzał się, po czym przeciął ulicę, aby popatrzeć z bliska na postęp prac przy budynku.

Stanął na dole z zadartą głową, ale ciemności nie pozwoliły mu wiele dojrzeć; niedokończona konstrukcja odcinała się słabo w mroku kratownicą metalu i drewna. Harris podszedł do najbliższego podestu i położył rękę na żerdzi. Po chwili sąsiednią ulicą przetoczyła się z hukiem wielka ciężarówka, wprawiając rusztowanie w wibracje. Choć samochód odjechał, Harris nadal trzymał metal w dłoni; czuł, że tak trzeba. Przez tych kilka sekund był bliżej rzeczywistości niż przez cały miniony dzień. Zamknął oczy i ścisnął stalową

żerdź. Minęło go dwoje zajętych rozmową ludzi. Słyszał ich głosy, lecz nie otworzył oczu.

W domu chciał powiedzieć żonie o swoim przeżyciu, ale w końcu się rozmyślił. Nie dlatego, aby robić z tego tajemnicę. Nie dlatego, że nie chciał, aby się dowiedziała. Czuł, że będzie zachwycona jego historią, bo tak dziwny i spontaniczny postępek zupełnie do niego nie pasował. Stał na chodniku z zamkniętymi oczami i trzymał stalową rurkę, bo naszała go taka chętka? Niemożliwe: nie jej mąż. Właśnie dlatego wysłuchałaby tej opowieści z wypiekami na twarzy. Jakoś jednak nie wspomniał jej o tym.

Następny dzień w pracy okazał się koszmarem. Harris wyszedł z biura jeszcze później niż poprzedniego wieczoru i natychmiast skierował swoje kroki do rusztowania, aby powtórzyć wczorajszy gest. Tym razem jednak było to świadome zachowanie, nie jednorazowy kaprys. Zamknął oczy, ujął w dłoń metalową podpórkę i poprosił w duchu, aby spłynęła na niego energia ludzi, którzy tu dziś pracowali. Żeby wstąpiła w jego ciało, ożywiła mu serce albo przynajmniej oczyściła go z brudów codzienności...

Nic z tego. Nie było błyskawic ani prądu, który by przeszedł przez jego rękę. Nie poczuł napływu energii. Żerdź pozostała zimnym kawałkiem metalu, toteż Harris puścił ją po chwili zmieszany i uśmiechnął się do siebie z politowaniem. Już miał się stamtąd zabrać, gdy nagle usłyszał piosenkę Dom na nizinie rozbrzmiewającą nad jego głową. Uniósł wzrok i zobaczył dwa wielkie, czarne buciory, które zsunęły się obok niego. Należały one – jak się okazało – do postawnego czarnego mężczyzny w puchowej kurtce i żółtym

kasku na głowie. Tamten miał przyjemny, głęboki głos. Opuścił się z rusztowania i zamilkł natychmiast, gdy tylko jego stopy zetknęły się z podłożem.

– Hej, jak się masz?

Alan uśmiechnął się i skinął mu nieśmiało głową.

– Dobrze... Mam się dobrze.

Mężczyzna potarł dłonie i wyszczerzył zęby.

– Na górze robi się diabelnie zimno.

Mówię ci, jesień za pasem.

Alan wskazał palcem w niebo.

– Tam naprawdę jest zimniej niż na ziemi?

Robotnik zamyślił się na moment.

– Bywa. Zwłaszcza jak silnie przywieje. Chcesz się przekonać?

– TERAŻ?

– Jasne! Tam jest pięknie. Widać światła w całym mieście. Jakbyś patrzył na szkatułę wypchaną złotymi diamentami. Chodź, obrócimy w pół godzinki.

Była to najcudowniejsza rzecz, jaką Alan zrobił od wielu lat. Robotnik nazywał się Lyle Talbot i okazał się równym gościem. Z początku Alan nie mógł zrozumieć, czemu tamten zaprosił go na wspinaczkę po rusztowaniu. W miarę jednak jak pokonywali kolejne piętra i rozmawiali, stało się zupełnie oczywiste, że rozciągający się z góry widok napawa Lyle'a dumą. Chciał się nim z kimś podzielić. Prosty i szczodry gest. Chodź, pokażę ci coś niezwykłego.

Wprawdzie Alan nie miał lęku wysokości, ale niektóre elementy konstrukcji wydały mu się nieco mniej stabilne od innych. Parę razy żołądek podszedł mu do gardła, kiedy noga obsunęła się z żerdzi lub wstąpiła na obluzowaną deskę, po której o mało co nie zjechał w dół. Lyle szedł górą bez wahania, ani razu nie obejrząwszy się za siebie.

Kiedy nie odzywał się do Alana, nucił Dom na nizinie.

– Tu się zatrzymamy. – Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi na szczyt. Lyle sięgnął do jednej z wielkich kieszeni swego kombinezonu i wydobyl stamtąd mały posrebrzany termos. – Napijemy się trochę gorącej kawy, żeby ogrzać kości. Zimno ci?

Alan był zbyt podekscytowany, aby czuć zimno. Ze stanowiska, które zajmowali, miasto przedstawiało niewiarygodnie piękny widok. Jarzyło się, migotało i mrugało światłami. Dolatujące z ulic odgłosy niosły bezustanny szum pędu i elektryczności. Chłodny wiatr szarpał nimi w nagłych, ożywczych porywach. Lyle miał rację, mówiąc, że miejskie światła płoną złoto. Niektóre z nich oczywiście miały inne barwy: błękitną, czerwoną, białą. Jednak dominowało złoto na tle czarnej nocy. Wszystkie żyły i zmieniały się, drgając, przygasając, skrząc się i migocząc. Alan żałował jedynie, że nie ma przy sobie aparatu fotograficznego. Zapełniłby go tymi obrazami.

Mężczyźni podawali sobie zakrętkę termosu, dzieląc się mocną, gorącą kawą.

Następnie Lyle zakręcił termos i spytał Alana, czy jest gotowy do zejścia. Przez ostatnie kilka minut wiatr przybrał na sile, zrobiło się jeszcze chłodniej. Alan odchylił głowę i omiół spojrzeniem wyższe kondygnacje. Z jednej strony pragnął kontynuować wspinaczkę, z drugiej jednak wiedział, że czas wracać do domu.

– Tak, jestem gotowy. Dziękuję, Lyle, że mnie tu zaprosiłeś. To była magiczna chwila. Naprawdę. Miasto wygląda stąd zupełnie inaczej niż z okien biurowca. To jakby porównać jazdę na motocyklu do jazdy samochodem.

Tutaj czujesz na twarzy wiatr i chłód, masz wrażenie, że lecisz nad miastem jak ptak na rozpostartych skrzydłach. Wiatr unosi cię i opuszcza... to niesamowite.

Lyle skinął głową. Poszperał chwilę w innej kieszeni, by wyciągnąć stamtąd grubą metalową śrubę długości pięciu centymetrów.

– Proszę... zatrzymaj to na pamiątkę.

Alan wziął śrubę i ostrożnie zamknął ją w dłoni.

– Zachowam ją jak skarb.

Nazajutrz w porze lunchu kupił sobie aparat cyfrowy. Wszedł do sklepu fotograficznego nieopodal biura i oznajmił sprzedawcy, że szuka dobrego i prostego aparatu, który by mu się zmieścił w kieszeni. Sprzedawca bez wahania wyjął model z szafki wystawowej i położył go na ladzie. Aparat był wielkości talii kart i miał jedynie dwa małe guziczki na górze. Obsługi można się było nauczyć w niecały kwadrans. Aparat miał precyzyjną soczewkę Zeissa, więc rezultaty przechodziły najśmielsze oczekiwania.

Alan usiadł na ławce w parku i przeczytał instrukcję obsługi. Mając trochę czasu przed powrotem do biura, zrobił na początek kilka zdjęć rusztowania, na które wspiął się wczoraj wieczorem.

Później sfotografował plac budowy, najpierw z okna swego biura, a potem – po pracy – z poziomu ulicy. Utrwalił rusztowanie rano, po południu i w nocy, kiedy było już prawie niewidoczne z wyjątkiem paru pojedynczych przebłysków metalu.

Zaletą cyfrówki było to, że momentalnie widział wyniki swoich działań. Nie podobały mu się. Robił zdjęcie, patrzył na nie i zaraz je kasował. I tak w kółko. Nie zachował w aparacie ani

jednej fotografii. Trwało to kilka dni. Wiedział, że nie jest artystą fotografikiem. Nie chodziło mu jednak o dzieło sztuki. Chciał zrobić jedno jedyne zdjęcie, które choć w małym stopniu oddawałoby to, czego tamtego wieczoru doświadczył na rusztowaniu z Lyle'em. Tylko TAKIE zdjęcie mogło go zadowolić.

Nie miał pojęcia, dlaczego to robi. Nie miał obsesji. Owszem, był człowiekiem porządnym i pragmatycznym, lecz nawet słowa „obsesja” używał najwyższe dwa razy do roku, zawsze w odniesieniu do kogoś innego. Któregoś dnia zapytał żonę, czy kiedykolwiek zauważyła u niego obsesyjne zachowanie. Zaprzeczyła bez namysłu. Być może znalazł sobie hobby. Nie było w tym nic złego. Być może po prostu lubił robić zdjęcia rusztowań i pracujących na nich robotników.

Pewnego wieczoru po kolacji w ulubionej restauracji oboje przechadzali się wolno po dzielnicy, w której znajdowały się liczne galerie sztuki. Jedna z nich zorganizowała wystawę dzieł artysty, który robił wyłącznie czarno-białe fotografie ukazujące nienaostrome ołówki leżące na kwadratowych białych talerzach. Żadne z dziesiątek zdjęć nie wyglądało jakoś szczególnie ciekawie. Na ile sposobów da się położyć ołówek na talerzu? Mimo to Alan zaciągnął żonę do galerii i długo oglądał wywieszone tam prace. Rozbawiona nie sprzeciwiała mu się, wreszcie jednak uznała, że przebrała się miarka. Przysunęła się ku niemu i wyszeptwała:

– Kupię ci dwa ołówki, jakich tylko zapragniesz, ale wyjdźmy już stąd.

Wystawa poprawiła mu samopoczucie. Widok tych fotografii dodał mu wiary, że nie robi nic złego. Jed-

ni pstrykają zdjęcia ołówków, a inni rusztowań.

W tym czasie brygada, która postawiła rusztowanie, przeniosła się na nowe miejsce, na fasadzie budynku rozpoczęto zaś prace renowacyjne. Trudno było dojrzeć, czym właściwie zajmują się robotnicy. Alan widział tylko, że niektórzy klajstrują dziury zaprawą murarską, a inni zdzierają stary tynk szpachlami. Chętnie by się dowiedział czegoś więcej, zobaczył to z bliska. W piątek wyszedł z pracy wcześniej i podreptał na drugą stronę ulicy. Parę minut później powiedział swoje pierwsze kłamstwo, odkąd zaczęła się ta historia.

Robotnik w kasku, idący z pomarańczową piłą łańcuchową, zobaczył, że Alan robi zdjęcia.

– Pan jest tym facetem z ubezpieczalni?

Alan potwierdził bez zastanowienia.

– No to pewnie będzie pan chciał wejść i porobić zdjęcia. Tędy.

Były to właśnie fotografie, które ujrzała jego żona, kiedy natknęła się na aparat w salonie. Nie były zbyt dobre, ale należały do pierwszych, które wykonał z rusztowania, dlatego ich nie wymazał.

Nie od razu się zorientował, że w czasie dnia na placu budowy panuje huk i rozgardiasz. Początkowo zobaczył to, na czym mu zależało: ludzi pracujących na wysokości. W istocie ten drugi świat na rusztowaniu tak bardzo mu się spodobał, że Alan zaczął odwiedzać inne place budowy w mieście. Udając pracownika firmy ubezpieczeniowej i emanując pewnością siebie, zyskiwał niemal swobodny dostęp do wszystkich pięter. Wspinał się na górę, schodził, rozmawiał z robotnikami, robił zdjęcia. Była to orzeźwiająca od-

miana w porównaniu ze statecznym, sterylnym życiem biurowym, polegającym na tropieniu trywialnych detali, wynajdywaniu furtek prawnych czy wygrzebywaniu rzadkich precedensów z annałów biurowej biblioteki.

Praca robotników była hałaśliwa, prosta i dawała wymierne korzyści. Alan ochoczo wkładał na siebie luźny strój i wychodził rano z domu, wiedząc, że za godzinę znajdzie się wysoko nad miastem i będzie je obserwował z perspektywy dostępnej zaledwie garstce szczęśliwców.

Szóstego albo siódmego dnia zdał sobie jednak sprawę, że tak naprawdę chce wskrzesić ten magiczny wieczór, który spędził na rusztowaniu z Lyle'em Talbotem. Doświadczenie to przypominało mu pierwszą przejażdżkę na rowerze – ten cudowny moment, kiedy chłopiec odkrył własny punkt równowagi i uwolnił się od silnej ręki ojca, ruszając ku wolności. Nocna panorama miasta rozciągniętego w dole, kawa pita z ciepłego metalowego kubka Lyle'a, poczucie i świadomość życia – były to niezwykle doświadczenia. Bardzo chciał je powtórzyć.

Alan nie zobaczył więcej Lyle'a, choć od czasu ich wieczornego spotkania wiele razy mijał budynek naprzeciw biura. W kieszeni nosił śrubę, którą od niego dostał; bawił się nią przez cały czas. Był pragmatykiem, nie wierzył w magię, szczęście ani religię. Mimo to śruba stała się czymś w rodzaju talizmanu – jedyne, jaki kiedykolwiek miał. Gdyby ją zgubił, bardzo by się zmartwił.

Parę tygodni później żona ponownie zobaczyła aparat na jego biurku i jeszcze raz oglądnęła zapisane w pamięci fotografie. Ku jej zaskoczeniu i przerażeniu były wśród nich dwa zdję-

cia ich salonu, które Alan zrobił przez pomyłkę. Aparat bezwzględnie należał do niego, a nie do jakiegoś klienta, jak twierdził. O co tu chodzi? Dlaczego ją okłamał? Co znaczą te zdjęcia? Pytania te zaprzętały jej myśli przez dwa dni; nie mogła się zdecydować. Zapytać go po prostu? Oświadczyć, że nie rozumie jego kłamstwa, i zapytać wprost, czy Alan ukrywa przed nią coś, o czym powinna wiedzieć? Bała się tego, co może usłyszeć. Czyżby stało się coś tak złego, że ten łagodny, uczciwy człowiek postanowił okłamać swoją najlepszą przyjaciółkę i życiową towarzyszkę?

Zanim zdążyła się z nim rozmówić, Alan zniknął.

Nie od dzisiaj spał kiepsko. Po czterech czy pięciu nocnych godzinach jego oczy otwierały się i czekały na nadejście dnia, mimo że na zewnątrz wciąż było ciemno. Rozbudzony walał się po mieszkaniu w piżamie, czasem czytał coś, oglądał telewizję albo robił śniadanie. Przywykła do tego. Ilekroć wyczuwała, że Alan wierci się w łóżku, nakrywała głowę poduszką i ponownie zapadała w sen.

Wrócił z pracy zmęczony i skwaszony. Zjedli w milczeniu kolację i o dziesiątej poszedł spać. Kiedy napomknęła, że jeśli teraz uśnie, to zbudzi się bardzo wcześnie, pokręcił głową i położył się do łóżka.

Ocknął się o trzeciej nad ranem i w jego myślach natychmiast zmateriałizował się gotowy plan. Wiedząc, że sen już nie wróci, postanowił ubrać się i pójść na miejsce, które na własny użytek nazywał „placem Lyle’a”. Wejście na rusztowanie i stanie tam, gdzie stali obaj tamtego wieczoru. Czemu nie? Tak chce i tak zrobi...

Wciągając ubranie, wyrzwał przez okno i zobaczył, że ulica lśni czernią od

deszczu. Czy należało się obawiać, że pogoda popsuje mu widok z góry? Miał nadzieję, że nie, ale i tak myśl ta go nie odstraszyła. Wdział płaszcz przeciwdeszczowy i czapkę, po czym wysunął się cicho przez frontowe drzwi, które zamknęły się z metalicznym pstryknięciem.

Ulice były mokre i opustoszałe. Raz po raz przejeżdżała z sykiem opon takśówka. Minął snującą się po chodniku parę młodych ludzi; trzymali się za ręce, nieświadomi reszty świata. Jak na tę porę roku było dość ciepło – mimo to zapiał guziki płaszcza, bo tam, gdzie się wybierał, będzie zimniej.

Po dotarciu do placu rozejrzał się na boki, aby upewnić się, że nikt go nie widzi. Następnie, jakby chcąc dodać sobie odwagi, namacał metalową śrubę w kieszeni i uśmiechnął się, bezgłośnie witając nieobecnego Lyle’a i wyjaśniając mu, co zamierza.

Metalowe rurki były śliskie. Podczas wejścia Alan parokrotnie poślizgnął się i obsunął, wskutek czego serce waliło mu w piersi, adrenalina krążyła zaś po całym ciele. Rzadko doznawał tego rodzaju uczucia i nie umiał powiedzieć, czy je lubi czy nienawidzi.

Od czasu do czasu zatrzymywał się i spoglądał w dół. Zmyte deszczem miasto wydawało się półpłynne, jakby dopiero co zastygło w swej formie, wydmuchane ze szkła albo ulepione z lukrecji. Zdawało się dziwnie kruche, jakby miało się rozsypać od jednego uderzenia młotkiem.

Wspiąwszy się na kondygnację, na której wówczas zatrzymali się z Lyle’em, Alan Harris obrócił się twarzą ku miastu, siadł w kucki i wsunął zgrabiące dłonie pod pachy. Zwykle przybierał tę pozycję, kiedy wiedział, że przyjdzie mu spędzić gdzieś dłuższy czas.

Upłynęło kilka minut, gdy do jego uszu dobiegł czyjś głos:

– Ejże, może byśmy tak wzięli się do roboty, co? Podaj mi ten młotek.

Kompletnie zaskoczony Alan spojrzął w prawo wybałuszonymi oczyma. Na drugim końcu podestu stał mężczyzna w popałkanym farbą kombinezonie, w żółtym kasku na głowie i skórzanym pasie z narzędziami. Nie był to Lyle Talbot.

– Słucham?

– No już, RUSZ się, człowieku. Nie płacą nam za siedzenie. Dasz mi ten młotek czy nie?

Alan opuścił wzrok i zobaczył, że w cieniu spowijającym jego stopy leży gumowy młotek z drewnianą rączką. Mimo ciemności widział, że narzędzie jest mocno zużyte. Wyprostował się z ociąganiem, podniósł młotek i podszedł z nim do stojącego na końcu podestu mężczyzny.

– Ja tu nie...

Tamten pokręcił głową i odwrócił się do fasady. Wysunął z pasa krótkie stalowe dłuto i przytknął je do elewacji.

– Widzisz tę warstwę? To wszystko musi zleźć, zanim położymy licówkę. Trzeba to dokładnie zedrzeć, kapujesz? O, tak...

Przez kilka minut pokazywał Alanowi, jak ma się posługiwać młotkiem i dłutem. Prawnik patrzył, nie odzywając się. Co miał powiedzieć? Dlaczego tamten pracuje w środku nocy? Pytania cisnęły mu się na usta, ale to przecież on wtargnął na cudzy teren. Najwyraźniej wzięto go za jednego z robotników z nocnej zmiany. Poczekaj, aż facet skończy i sobie pójdzie, a wtedy opuści się cichaczem na ulicę i tyle go będzie widać.

– Masz, spróbuj. – Mężczyzna wyciągnął obie ręce, trzymając narzędzia.

Alan odebrał je nieśmiało, po czym przyłożył dłuto do ściany i uderzył w nie młotkiem.

– Mocniej! To stary tynk. Tu się nie ma co pięścić.

Alan uderzył jeszcze raz, o wiele silniej. Nieduży kawałek elewacji ułamał się i odpadł.

– Mocniej, człowieku! To nie kobieta, tylko ściana. PRZYWAŁ jej.

Uśmiechnął się i rąbnął w dłuto ze wszystkich sił: tym razem wyrwał całym bryłę.

– Dobrze, i o to właśnie chodzi. Wrócę tu jeszcze. – Robotnik otarł ręce w kombinezon i wychyliwszy się na jednej z krańcowych żerdzi, zaczął schodzić po rusztowaniu. Miał przy sobie tyle metalowych przedmiotów, że poruszając się, pobrzękiwał nimi, jakby nosił w pasie dzwoneczki.

Alan uznał, że najrozsądniej będzie trochę odczekać. Nie mając nic innego do roboty, znów zaczął kruszyć dłutem ścianę budynku.

Przez następny kwadrans nic się nie wydarzyło. Praca sprawiała mu satysfakcję i dodawała energii. Mimo hałasu, który robił, doszedł do wniosku, że wysokość pochłania co bardziej natarczywe dźwięki. Odwykł od pracy fizycznej, ale czuł się znakomicie. Wymachując młotkiem, pomyślał, że powinien znaleźć sobie hobby, które da mu okazję, by robić coś takiego na co dzień. Może zapisze się na kurs meblarstwa albo rzeźby? Narzędzia, które trzymał w rękach, były groźne i tępo uczciwe. Pracował rękami zamiast głową – cóż za wspaniała odmiana!

Snując podobne rozmyślenia, Alan łupnął w dłuto z taką siłą, że kawałek elewacji odprysnął od budynku, ale tym razem nie spadł na ziemię. Biały fragment, mniej więcej wielkości scyzo-

ryka, zawisł nieruchomo między nim a ścianą. Alan opuścił ręce z narzędziami i gapił się na niego z niedowierzaniem: odłamek unosił się w powietrzu przed jego piersią.

– Weź go. Ułam odrobinę i zjedz ją.

Głos rozległ się za jego plecami. Alan odwrócił się i stanął twarzą w twarz z tęgą kobietą w średnim wieku, noszącą czarne okulary i roboczą odzież. Nie słyszał, jak weszła. Wskazał na wiszący odprysk elewacji. Skinęła głową. Wtedy wyciągnął rękę i pochwycił go, tak jak mu kazała. Odłamał mały kawałeczek, położył go z wahaniem na czubku języka i zamknął usta. Zaczął żuć. Żona nie widziała go więcej. Kiedy zniknął, przeszła przez strach, ból, złość i dezorientację, omal nie postradałszy zmysłów i serca.

Uratował ją dobry człowiek: profesor hebraistyki z miejscowego uniwersytetu, który mieszkał w tym samym domu i nieśmiało, ale z uporem zabiegał o jej względy. Na początku ich znajomości otworzyła przed nim serce, a on zachował mądre milczenie. Żydzi na co dzień obcuja z tajemnicą; jest ich trzecim rodzicem. Wiedzą, że gdy tajemnica powala ludzi na ziemię, nie zostaje nic innego, niż skinąć głową i okazać współczucie. Jak pokazuje historia, biografie Żydów i okoliczności ich śmierci często nie mają najmniejszego sensu. Zdając sobie z tego sprawę, profesor wręczył jej, pogrążonej w bólu, kartkę papieru, od której rozpoczęło się jej ozdrowienie. Zapisał tam słowa: „Nie ty będziesz dokańczać świat, ale też nie masz prawa w nim nie uczestniczyć”. Przeczytała je i chciała spytać, kto to powiedział, gdy wezbrana w niej fala żałoby wylała się gwałtownym szlochem. Pierwszy raz jednak, odkąd jej mąż zniknął, były to

łyzy, które oczyszczały, zamiast pogłębiać rozpacz, i mimo że odzyskanie równowagi zajęło jej dłuższy czas, początek tego procesu przypadł właśnie na tamten moment.

Po zjedzeniu kawałka budynku Alan Harris uległ przemianie. Inni mieli mniej szczęścia. W następnych miesiącach Alan widział wielu przychodzących do pracy na rusztowaniu, których wkrótce odprawiano do poprzedniego życia, nie informując ich zresztą ani słowem, dlaczego zostali odrzuceni.

Gdy o to zapytał, powiedziano mu, że ludzie ci pracują przez dwa dni. Jeżeli w tym czasie nie odkryją fragmentu budynku, który mają zjeść, zostają odprawieni z kwitkiem, a ich wspomnienia z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin są kasowane z pamięci. Po powrocie do domu mówią swojej uszczęśliwionej rodzinie, że nie mają pojęcia, gdzie byli. Dzięki Bogu, że odnaleźli drogę do domu. Całuje się ich, wita i fetuje ich powrót. Są wdzięczni – cieszą się, że żyją. Wykluczeni nadal przyglądają się renowacji budynków, lecz nie kryje się za tym żaden głębszy sens. Pozostają miłośnikami, jak człowiek, który dla zabicia czasu przystaje na moment, aby pogapić się na prace trwające na placu budowy.

Od tej pory Alan nie znał głodu ani zmęczenia. Dzień i noc harował z pozostałymi członkami brygady, dopóki nie ukończono odnowy elewacji. Wówczas przełożeni przenieśli ich na drugą stronę miasta, do innego budynku, przed którym stało już rusztowanie, żeby przeprowadzić następny remont.

Brygada Alana mieszkała się ze zwykłymi robotnikami, których wynajmowano do renowacji fasad. Kiedy spotykasz na placu budowy człowieka

ubranego w odzież roboczą i niosącego te same narzędzia co ty, nie pytasz go, czego tu szuka. Przyjmujesz, że jest na swoim miejscu.

Czym się zajmowali Alan i jego towarzysze? W pierwszym okresie bez przerwy zadawał kolegom to pytanie, ale każdy z nich udzielał mu innej odpowiedzi. Było to tematem ciągłych dyskusji. Ktoś twierdził, że szukają czegoś, co zaginęło w spękanych, osypujących się fasadach, które przywracają do ładu. Taki rodzaj archeologii. Ich szefowie wiedzą, co to jest: gdy tylko rzecz ta zostanie odnaleziona, wszyscy się o tym dowiedzą. Dotychczas jednak na nią nie natrafiono, toteż dalej wędrują od budynku do budynku.

Inny mężczyzna, wysoki Azer z wątlą szczęką i dzikimi piwnymi oczyma, który prowadził niegdyś zakład krawiecki, zaklinał się, że odbudowują Państwo Boże zgodnie z wizją św. Augustyna. Na wpół drwiącym, wpół oskarżycielskim tonem zapytał Alana, czy czytał dzieło filozofa O Państwie Bożym. Prawnik przyznał z pokorą, że nie.

– Wobec tego znajdź tę książkę i PRZECZYTAJ ją! Zrozumiesz dokładnie, o czym mówię. Znaleźliśmy się tutaj, bo czynimy dzieło Boże na ziemi.

Słyszając to, część robotników parsknęła śmiechem, a inni uśmiechali się tylko z niedowierzaniem. Wszyscy mieli własne wyobrażenia na temat tego, dlaczego tu są i na czym polega sens ich wysiłków. W jednej sprawie panowała jednomyślność: trafili tu dzięki niebywalemu szczęściu. Nic innego w życiu nie dało im tyle radości i takiego poczucia spełnienia.

Co pewien czas ktoś z ekipy znikał bez śladu, nikt jednak nie robił z tego powodu wielkiego halo. W końcu pa-

dało pytanie: „A gdzie Lola? Dawno jej nie widziałem”. Ludzie przystawali na moment, rozglądali się na boki, po czym wzruszali ramionami. Gdziekolwiek była teraz Lola – a także Ron, Chris i Dorothy – ich niewiele to obchodziło. Po kilku dniach brakującego robotnika zastępował nowy człowiek.

Późnym zimowym popołudniem, podczas opadów mżawki, Alan czyścił gargulec na najwyższej kondygnacji zabytkowej kamienicy. Używał do tego wytartej drucianej szczotki i butelki wybielacza. Co jakiś czas musiał przerwać pracę i oddalać się na skraj podestu, skąd patrzył przez chwilę na miasto, aby odetchnąć od oparów wybielacza.

Myślał o dniu, w którym spotkał Lyle’a Talbota. Zeskrobując z rzygacza wieloletnie pokłady brudu i zanieczyszczeń, zaczął mimowolnie nucić pod nosem Dom na nizinie. Mżawka przeszła w ostro zacinający deszcz. Alan uśmiechnął się i zaśpiewał cicho: „Dom, dom na wyżynie pośród deszczu...”. Po chwili umilkł. Tak właśnie przedstawia się jego sytuacja. Jest u siebie w mokry zimowy wieczór, w centrum największej tajemnicy życia, której nie musiał rozwiązywać, ona bowiem uniosła go i zadbała o niego, czyniąc jego życie znacznie lepszym, niż było przedtem.

W głębi serca Alan Harris przyznawał, że jego nagłe zniknięcie musiało być największą zagadką w życiu jego żony. Zasługiwała na wytłumaczenie, którego nigdy od niego nie usłyszy. Ostatecznie cóż miałby jej powiedzieć: „Zjadłem kawałek budynku i przeniosłem się do miejsca, z którego nie ma powrotu”?

– CO byś jej powiedział, gdybyś miał taką możliwość?

Alan znajdował się sam na wysokim rusztowaniu. Reszta brygady pracowała po drugiej stronie gigantycznego budynku. Wiedział, że głos mógł pochodzić tylko z jednego źródła. Obrócił i zobaczył, że gargulec patrzy na niego. Ślepe oczy maskary mrugnęły powiekami.

– Podejdź tutaj. – Gargulec stanowił groteskowe połączenie małpy, karła i czegoś jeszcze, czego sam twórca nie umiałby opisać. Gęba stwora wyglądała zarazem śmiesznie i groźnie, jakby mówiła: „Albo cię zabiję, albo cię rozbawię do łez”.

Bez cienia wahania Alan wrócił na swoje stanowisko. Pysk rzygacza sterował tuż nad jego głową.

– Nie wiem, co bym jej powiedział. Mam nadzieję, że wszystko u niej dobrze. To jedyny powód, dla którego chciałbym zejść na ziemię. Żeby zobaczyć, jak się ma.

– MOŻESZ już zejść. Tutaj skończyłeś swoje zadanie. – Niespodziewane słowa rzygacza ugodziły go jak cios pięścią w splot słoneczny.

– Jak to?

– Zrobiłeś to, czego od ciebie chcieliśmy. W dowód wdzięczności dajemy ci wybór: Możesz wrócić do życia i spróbować ułożyć je z żoną albo możesz zrobić kolejny krok. Przejdź na wyższy poziom.

– To znaczy jaki?

Gargulec potrząsnął głową.

– Nawet gdybym ci powiedział i tak byś nie zrozumiał. Tego się nie da opisać.

– Nie możesz podsunąć mi jakiegoś śladu albo wskazówki?

– Nie. Ale będziesz musiał wybrać tu i teraz.

Alan pomyślał o swojej kochanej żonie, jałowej egzystencji i o widoku na

świat, który otwierał się z podwójnego okna jego biura na dziesiątym piętrze. Nie potrafił jednak rozstać się z tajemnicą, która stała się jego udziałem. To ona przeważała szalę jego decyzji.

Długie małe ręce rzygacza, krzyżujące się na jego piersi, wysunęły się nagle i z przerażającą siłą zepchnęły Alana z rusztowania.

Nie zdążył się przestraszyć. Jego myśli krążyły nadal wokół zagadki, którą stało się jego życie, i tego, jak bardzo je kocha. Gdy tylko uświadomił sobie, co się stało, myśli te skupiły się w jedno wszechogarniające pytanie: „CO?”. Spadając przez deszcz, pomyślał jeszcze „Dobrze”.

Runął na ziemię z trzepotem skrzydeł i gardłowym gruchaniem – był nakrapianym szarym gołębiem z pustymi złotymi oczkami i mózdzkiem wielkości ziarna słonecznika. Zaczął przechadzać się tam i powrotem, co rusz poprawiając ułożenie skrzydeł. Na przeciwnym końcu parapetu dostrzegł coś, co wyglądało na jedzenie, więc ruszył w tamtą stronę.

Po drugiej stronie okna, przy kuchennym stole, siedziała samotna kobieta i popijała gorącą herbatę. Miała dziś wieczorem randkę i zastanawiała się, co na siebie włożyć. Zauważyła ptaka na parapecie i pomyślała o tym, jak to jest żyć na zewnątrz, w taką dżdżystą grudniową noc. Przez sekundę, może dwie kobieta i gołąb patrzyli jedno na drugie. Złote oko ptaka było ślepe i tajemnicze jak śmierć. Oczy kobiety były pełne i tajemnicze jak życie. Wtedy gołąb schylił główkę i zaczął stukać dziobem o parapet w poszukiwaniu jedzenia, niczym ślepiec postukujący laską w drodze do domu.



fragment

Eric lax

Woody Allen. Rozmowy

Eric lax: *Rozmawialiśmy długo na temat genezy twoich pomysłów, ale nie o tym, jak wybierasz ten jeden spośród wielu. Możesz podać kilka przykładów na to, jak doszło do produkcji konkretnych filmów w danym czasie?*

Woody Allen: Miałem pomysły na *Drobnych cwaniaczków*, *Klątwę skorpioną* i [chwila ciszy] *Koniec z Hollywood* – wszystkie w zanadrzu. I powiedziałem sobie: „Ej, chciałbym skończyć z tymi komediami, chciałbym, żeby mi zniknęły z biurka”. I nakręciłem jedną po drugiej. Byli tacy, którzy mówili: „A niech to, znowu kręci lekkie komedynki”. Ale ja tak nie rozumiem. Chciałem je nakręcić, bo miałem je na biurku. To był pomysł, który chciałem kiedyś zrealizować.

Po tych trzech przyszła kolej na film *Życie i cała reszta*, ponieważ pomysł od dawna kiełkował w mojej głowie. Film o kopniętym starszym faciecie, który przekazuje młodemu człowiekowi swoje wariackie widzenie świata, a on idealizuje swego mentora i wiele z jego rad bierze do siebie. Starszy facet okazuje się jednak być regularnym

psychopatą. Kręcę takie filmy, na jakie mam nastrój w danym momencie, i mam nadzieję, że ludziom się to spodoba. Jeśli nie, to i tak robię, co chcę, i znowu mam nadzieję. Myślę, że gdyby nikt nie lubił moich filmów, to już dawno wypadłbym z branży, a jednak często mi się udaje.

Może zbyt upraszczam, ale mam pewien temat dla ciebie. Nie tak dawno temu w rozmowie na temat Zeliga wskazałeś na niebezpieczeństwo przystosowania, które może prowadzić do faszyzmu. Mamy tutaj chłopaka słuchającego człowieka, który – mówiąc przenośnie – zakłada sobie folię na głowę, by słyszeć kosmitów. To właśnie skrywana wrażliwość jest prawdziwie niebezpieczna, ona nie pozwala być sobą.

Jest to sytuacja, w której nie ma wygranych, gdyż będąc sobą ma się mnóstwo problemów [śmiej]. Tylko czuje się lepiej. To jak w przypadku sportowca, powiedzmy, boksera. Nie chcesz walczyć za kogoś innego i przegrać walki. Jak sam będziesz walczył i przegrasz, to przegrałeś. Ale kiedy walczysz za dru-

giego i przegrywasz, czujesz się podle. To się często zdarza podczas kręcenia filmów. Jeśli starasz się nakręcić film, by przedstawić coś, co ciebie nie dotyczy, albo sprawić przyjemność widzom, zadowolili krytyków czy też osiągnąć komercyjne albo nawet artystyczne cele, kalkulujesz na zimno. Nie jest ci dobrze, ponosisz klęskę i czujesz się naprawdę źle. Gdy jednak robisz coś, na czym ci naprawdę zależy, z przekonaniem, że robisz to dla czystej przyjemności, i wychodzi z tego katastrofa, to czujesz się w sumie lepiej niż przy Co słysząc koteczku?, którego nienawidzisz, chociaż wszystkim się podoba. Bo jeśli ty sam nie czerpiesz z tego przyjemności, to po co to wszystko? Kiedy nakręcę film, który mi się podoba, a innym nie, to przynajmniej mam z tego odrobinę przyjemności. Tymczasem gdy czegoś nie lubię, lecz innym to się podoba, to nawet gdy bilety idą jak woda, nie sprawia mi to radości.

Kto miał na ciebie największy wpływ?

Kiedy zaczynałem kręcić filmy, uwielbiałem Bergmana – wciąż uważam, że jest najlepszym filmowcem, jakiego widziałem – a gdy przypomnisz sobie mnie z tamtych czasów, to kim ja naprawdę wtedy byłem? Byłem satyrykiem, który pracował po nocnych klubach i pisał gagi na Broadway. Nie byłem intelektualistą; nie byłem zamyślonym, poważnym mężczyzną. Chodziłem na mecze i jadałem w Elaine's. Nie wiedziałem, co kamera ma w środku, nie wiedziałem, co robię, i moim największym idolem był Bergman. To takie absurdalne i głupie, ta dysproporcja między postaciami, które miały na mnie wpływ – Bob Hope i Ingmar Bergman [zaczyna się

śmiać]. Nic więc dziwnego, że w wyniku tych wpływów powstał ten dziwaczny, hybrydowy film. Zawierał wyszczerzone odzywki ze sztuk George'a S. Kaufmana czy filmów Boba Hope'a, oraz stylizowaną na ciężkie, szwedzkie filmy dramaturgię w wykonaniu satyryka, bynajmniej nie intelektualisty z nocnego lokalu, który zabiera się za całkiem poważny i głęboki temat. Tak powstał ten dziwaczny miszmasz [śmiech]. Tak czy siak, te filmy najwyraźniej bawiły ludzi, bo były odmienne – ja nie robiłem rzeczy konwencjonalnych. Ale byłem, jak każdy nowicjusz, produktem ukształtowanym przez wpływy, przez wielkie osobowości.

Zawsze powtarzam, że nie jestem ani w pełni artystą, ani do końca twórcą komercyjnym. Przeciętnej osobie moje filmy mogą się wydawać, z braku lepszego określenia, pretensjonalnie artystyczne. Ale już nie ludziom, którzy znają się na sztuce. I w takim oto stanie zawieszenia żyję ze swoimi filmami. Były zawsze – nie wiem, jak to ująć – ani komercyjne, ani artystyczne [przerywa i zaczyna się śmiać], a jednak przypadkowo miłe dla oka i nawet dochodowe.

Czy któryś z twoich filmów powstał na kanwie jakiegoś osobistego odczucia czy też myśli, którą chciałeś przekazać, jest źródłem twojej osobistej satysfakcji? Jest to pytanie podchwytliwe.

Wnętrza odzwierciedlają moje poglądy na życie – zimną próżnię, w której przyszło nam żyć. Nie uratuje nas przed nią żadna sztuka, tylko odrobina ludzkiego ciepła. To był mój dydaktyczny scenariusz. Po zsumowaniu wiele moich idei może się wydawać zatopionymi

w pesymizmie. *Zbrodnie i wykroczenia* – człowiek popełnia zbrodnię i uchodzi mu ona na sucho, bo to jest świat bez Boga. Jeśli sam się nie ukarzesz, to nikt nie zrobi tego za ciebie. W *Purpurowej róży* z *Kairu* chodziło o to, żeby wybrać pomiędzy fantazją a rzeczywistością, która zawsze cię pogrzebie. We *Wnętrzach* wiele jest na temat niemożności porozumiewania się, o przerażającym życiu, śmierci i braku ratunku. Jak to wszystko zsumujesz [parska śmiechem], wygląda bardzo ponuro.

Albo realistycznie. Kiedy byłeś w Cannes z filmem Wszystko gra, ktoś cię zapytał, czy jest to film cyniczny. Odpowiedziałeś, że „cyniczny” jest synonimem słowa „realistyczny”.

Naprawdę tak uważam. [Wzdycha]. Ale nie jest to materiał na masową rozrywkę. Żle się prezentuje w mass mediach. Ludzie mogą się z tobą całkowicie zgadzać, lecz nie chcą tego roztrząsać.

Wszystko gra jest tutaj wyjątkiem. Okazał się być bardzo popularny. Czy jego ciepłe przyjęcie podniosło cię trochę na duchu?

Podbudował mnie w takim sensie: Zawsze chciałem być [cichy śmiech] poważnym filmowcem. Za każdym razem, kiedy kręciłem poważny obraz, nie miałem w ogóle publiczności. *Wszystko gra* był filmem przełomowym, udowodnił, że mogę nakręcić film poważny, może nie być w nim żartów i mogę zdobyć prawdziwą publiczność – w przypadku *Manhattanu* czy *Annie Hall* naprawdę wielką. No, dla mnie wielką. Dał mi więc siłę, by nakręcić to, co teraz robię, ponieważ mam przecucie, że

ludziom się spodoba. Nie będą do tego pochodzili jak do pracy domowej. Ten film nie tylko będzie bawił, ale również będzie posiadał stosowną ilość treści, oczywiście w miarę moich możliwości. Moja teoria dotycząca filmów na obecnym etapie życia zakłada, że ludzie decydują z góry. Ci, którzy lubią moją twórczość, pójdą do kina i wybaczą mi niedociągnięcia. Tacy, którzy jej nie lubią, obejrzą mój film tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie się pieprzałem, bo ja zawsze potrafię coś spieprzyć [śmiech]. I dlatego *Wszystko gra* tak mnie powala, ponieważ, pomijając fakt, że zawsze jestem pierwszy do spieprzenia czegoś, czuję, że tym razem niczego nie spieprzyłem. Wiem, że spartoliłem strasznie *Hannah i jej siostry*, lecz ci, co mnie lubią, wybaczyli mi to świadomie. Jest faktem powszechnie znanym, że spieprzyłem też *Manhattan*, ale ludzie tego nie zauważyli.

Pod jakim względem spieprzyłeś Hannah i jej siostry, poza szczęśliwym zakończeniem?

No tak, to mnie po prostu zabiło. W niemal wszystkich filmach, które nakręciłem, nawet w tych, które kocham, jak *Purpurowa róża* z *Kairu*, są pewne rzeczy, które – moim zdaniem – powinienem zrobić inaczej. Pamiętam je, choć filmów nie widziałem od lat, i myślę sobie: Gdybym tylko ruszał się nieco szybciej w tym fragmencie, a w tamtym było więcej uczucia... Ale we *Wszystko gra* całość była na medal. [W jego głosie słychać lekkie zadziwienie]. Może jak obejrzę *Wszystko gra* za dziesięć lat, też stwierdzę, że nie jest aż taki dobry. Pomyślę sobie: O Boże, wydawało ci się, że jest taki doskonały,

a popatrz tu i tutaj [śmiej]. Ale oczywiście właśnie z tego powodu nie będę go dokładnie oglądał.

Dzisiaj obejrzałem jakiś stary film, którego nie widziałem od lat sześćdziesiątych. Pamiętam, że gwiazda tego filmu hipnotyzowała publiczność – była taka wspaniała, że nie mogłem się doczekać, by ją zobaczyć. A kiedy zobaczyłem ją teraz na nowo, nie była taka piękna, jak ją zapamiętałem. I pomyślałem sobie: Co się stało? Była znaną piękną, a teraz patrzę na nią i zastanawiam się: Czy aż tak zmieniły się kryteria urody? A może mój gust? Może nigdy nie była aż tak piękna? [Uśmiecha się smutno]. Nigdy nie oglądam starych filmów. To zbyt przerażające.

Jak daleko w przód planujesz swoje działania?

Na rok lub dwa. Negocjujemy na następne lato lub lata. W niektórych przypadkach cudzoziemcy dają mi swobodę, a niekiedy chcą, żebyśmy kręcili film u nich. Ostatnio pojawiła się nawet odrobina – odrobina – zainteresowania ze strony Amerykanów. Ale jestem czujny, bo z krajowymi środkami wiąże się wymogi artystycznej kontroli.

Niedawno pojawił się w „Timesie” artykuł, w którym napisano, że obecnie przeciętny koszt produkcji filmu to dziewięćdziesiąt sześć milionów dolarów. Ja kręcę swoje za piętnaście. Nie sądzę, że zaraz producenci zaczną mi włożyć drzwi i okna: Patrzcie, jest facet, co kręci za piętnaście, czternaście melonów i nigdy nie przekracza siedemnastu. To pewna inwestycja przy prawach do emisji i dystrybucji światowej, ryzyko jest minimalne.

Nigdy nie doprowadziłem nikogo do bankructwa. Poza tym zawsze ściągamy wybitnych aktorów do moich filmów. I jest do pomyślenia, że któryś z tych, co inwestują dziewięćdziesiąt sześć milionów, mógłby powiedzieć: „Niech nakręci dla nas pół tuzina filmów, jestem pewien, że jeden z nich przyniesie pieniądze, a pozostałe albo się zwrócą, albo zarobią kilka milionów, więc nasze pieniądze będą stosunkowo bezpieczne. A kiedy będzie po wszystkim, zarobimy po dwa na każdym, czyli w sumie dwanaście milionów”.

Wiem, że to nie jest dwieście pięćdziesiąt milionów, lecz gdy będą mieli sporo „produktów”, może im się przyfarcić, bo będzie w tym zestawie jakiś *Manhattan* czy *Wszystko gra* i nie zarobią na nim dwóch milionów, tylko sto. Jestem jednak pewien, że czegoś w tej mojej logice brakuje, ponieważ nikt do mnie tak nie mówi.

Jakiś facet chciał wesprzeć mój film i napisał, że rozumie moje poczucie wolności artystycznej i da mi sumę X w dolarach, która będzie lekko niewystarczająca, i prosi jedynie o pięciostronicowe streszczenie. Odpisaliśmy mu mailem, że nawet sam dla siebie nie napisałbym pięciostronicowego streszczenia. Nie napisałbym nawet jednostronicowego streszczenia. Nigdy nie dałem nikomu, kto finansował moje filmy, nic poza trzema, czterema linijkami opisu, by ukończyć jego egzystencjalne lęki: film dzieje się współcześnie [śmiej] i jest w kolorze, ponieważ ludzie nie lubią czarno-białych filmów historycznych, akcja nie toczy się w czarnym wieku, w świecie, w którym Bóg milczy. Staram się dać

im jako takie pojęcie tego, co robię, ale nie chcę się ograniczać, bo czasami gdy piszę to, co zapisuję, inspiruje mnie do innego pomysłu i muszę mieć swobodę przedstawienia się na to drugie.

Zabawne w tym jest to, że ci sami ludzie, którzy przez lata kwékali przy filmach historycznych, które widać teraz na każdym kroku – *Titanic*, jakiś film Mela Gibsona czy *Przeminęło z wiatrem* albo *Ojciec chrzestny* – obecnie czerpią z nich olbrzymie zyski.

Opowiadałeś o filmie na temat nowo-orleańskiego jazzu, który chciałbyś nakręcić. Czy jest jeszcze jakiś film, nad którym myślisz?

Chyba zaczynam dochodzić do wniosku – bo w tym roku stuknie mi siedemdziesiąt jeden lat – że nigdy nie nakręcę tego filmu w stylu Boba Hope’a, by móc się ślizgać we wszystkich kierunkach. Zawsze chciałem nakręcić film drogi, z kimś może takim, jak Keaton, albo inną aktorką komediową, taki jak filmy drogi pary Hope i Crosby, a nie [śmiech] taki jak Easy Rider.

Gdyby zwrócili się do mnie ludzie z jakiegoś studia i powiedzieli, że chcą czegoś w klimacie i tradycji Hope’a i Crosby’ego, to zrobiłbym naprawdę świetny film. Fatalny błąd tych, którzy kręcą nowe wersje starych filmów, polega na tym, że mają one rozbuchaną produkcję i są zbyt precyzyjnie zrobione. Ale ja bym tego błędu nie popełnił. Nakręciłbym film utrzymany we właściwej konwencji. Byłby to dowcipny film, ale nikt nie byłby zainteresowany [śmiech] ani jego produkcją, ani pójściem do kina.

Wiem, że najbardziej jesteś zadowolony z filmu Wszystko gra, ale mówiłeś kilkakrotnie, że lubisz też Purpurową różę oraz Mężów i żony. Czy nadal jest to aktualne?

[Odpowiada bardzo szybko, jakby niechętnie przyznając, że lubi ich aż tyle]. Tak, jeśli miałbym wybrać trzy. [Zastrzega jednak]. Ale ta ocena mogłaby się zmienić, gdybym je ponownie zobaczył. Mam ciepłe wspomnienia związane ze *Strzałami na Broadwayu* i *Zeligiem*. [Milknie i marszczy czoło]. W dalszej kolejności.

Chciałbym zadać ci kilka podsumowujących pytań. Lata temu napisałeś zabawną parodię mowy inauguracyjnej dla „The New Yorkera”, zatytułowaną „Moja przemowa do absolwentów”. Ale czy masz jakąś poważną radę dla przyszłych filmowców?

Kiedy mówię do grupy ludzi, zawsze proszą mnie o rady, ale ja nie mogę im ich udzielić, ponieważ nie ma ustalonego z góry sposobu dostania się do branży czy też zostania reżyserem. Każdy robi to po swojemu. Sposobem, podstępem, manipulacją. Marty Scorsese idzie do szkoły filmowej i robi karierę, Leni Riefenstahl [śmiech] uwodzi Hitlera i robi karierę. Więc jedyna rada, jaka przychodzi mi do głowy, to ta, że jeśli coś się liczy, to praca. Nie czytajcie o sobie, nie wdawajcie się w wielkie dyskusje o swojej pracy, tylko rzyjcie nosem w ziemi. I niech wam nie przyjdzie do głowy myśleć o blaskach popularności. Nie myślcie o pieniądzach ani o pochwałach. Im gorsze macie mniemanie o sobie, tym lepiej. To tak jak z piłkarzem, im mniej się zastanawia, jak się ruszać, tym lepiej mu

to wychodzi. Róbcie swoje, nie traćcie czasu na rozmyślanie o czymś innym, nie wstępujcie do menażerii show-biznesu, nie patrzcie na to, co wam ludzie podsuwają, by was oderwać od pracy, a wszystko się ułoży.

Jeśli ktoś nie lubi twojej pracy, rób to, co uważasz za słuszne, i albo on zmądrzeje, albo ty stracisz tę robotę, całkiem zresztą zasłużenie. Jeśli ktoś nie cierpi tego co robisz – pozwól mu na to, może mieć rację. A może nie ma. I nawet jeśli ludzie okrzykną cię geniuszem, to bardzo ważne jest, żeby szybko od nich uciekać, bo musisz zadać sobie pytanie: Skoro ja jestem geniuszem, to kim byli Shakespeare, Mozart czy Einstein? Ze mną było nieco gorzej – nazywali mnie „geniuszem komedii”. Zawsze powtarzałem, że prawdziwy geniusz ma się tak do geniusza komediowego, jak szef Łoży Włochatego Łosia do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Z wiekiem pojawia się w komentarzach na temat mojej osoby słowo „dziedzictwo”, ale ja osobiście nie jestem zainteresowany żadnym dziedzictwem, ponieważ mocno wierzę w to, że nazwanie pośmiertnie ulicy czyimś imieniem w żadnym stopniu nie poprawia jego metabolizmu. Wiem, co się stało z Rembrandtem, Platonem i tymi wszystkimi sympatycznymi ludźmi. Po prostu sobie leżą. Może pozostanie niewielkie finansowe dziedzictwo dla moich dzieci, ale kiedy umrę, ani trochę nie będzie mnie martwiło, jeśli wezmą wszystkie moje filmy i negatywy – pomijając niewielką rekompensatę finansową dla moich dzieci – i wrzucą je wszystkie do rynsztoka. Wielki Shakespeare wcale nie ma

się teraz lepiej niż beztalencie, które też pisało sztuki w elżbietańskiej Anglii, ale nie mogło ich wystawić, a kiedy mu się w końcu udało, to wszyscy uciekli z teatru. Nie, żebym myślał, iż zupełnie nie mam talentu, ale nie mam go w wystarczającej ilości, by sprawił, aby moja krew zaczęła krążyć przezwyjączając rigor mortis. Zatem dziedzictwo tak naprawdę nic nie znaczy. Najlepiej wyrażam to w swej myśli: „Zamiast żyć w sercach i umysłach moich bliźnich, wolałbym żyć dalej w swoim mieszkaniu”.

A co z publicznością, która będzie przychodzić do kina, kiedy ciebie zabraknie, by dalej cieszyć się twoją twórczością?

I dobrze im tak, a jeśli z jakiegoś powodu któryś z moich filmów będzie dalej bawił ludzi, kiedy mnie zabraknie, to świetnie. Nie jestem temu przeciwny. Ale kiedy umrę, moje filmy nie będą mnie w ogóle obchodziły. Gdy jest się młodszym, rozumuje się w kategoriach sławy, uwielbienia, nieśmiertelności, lecz wiele widać, gdy podniesie się wzrok i spojrzy, dokąd prowadzą ścieżki sławy... Może to dlatego mówi się w kółko o dziedzictwie prezydentów. Ciekawy jestem, dlaczego ci wszyscy politycy tak się przejmują swoimi bibliotekami, twarzami na znaczkach i monetach? Przecież trudno utrzymać prezydenckie dostojęństwo w urnie.

PREMIERY *gier*

Port Royale 3: Pirates & Merchants

◆◆◆

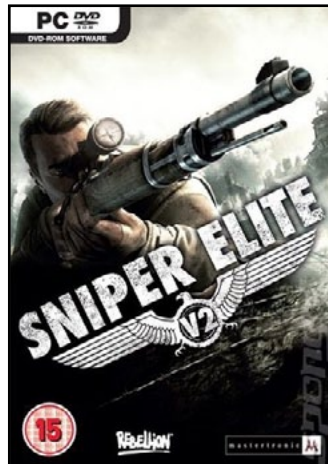


Seria Port Royale zachowuje się niczym dryfujący statek z niewielką dziurą w kadłubie. Niby płynąć można, jednak woda się dostaje. Po genialnej pierwszej części była gorsza dwójka. Przy produkcji kontynuacji majtkowie zamiast załatać dziurę, pozwolili na utworzenie się kilku kolejnych. Cóż, najwidoczniej wizja pięknych kobiet czekających na dzielnych piratów w portowych burdelach zatrzymała ich procesy myślowe na dobre. A może to był rum? W tym przypadku jest to

jednak mało ważne. Twórcy położyli na łopatki całą serię, jedno niedociągnięcie popędza drugie, interfejs jest mało intuicyjny, a podczas kolejnych rejsów przemierzamy ocean absurdalnych pomysłów i rozwiązań. Ekonomiczno-pirackich klimatów lepiej poszukać we wcześniejszym *Patricianie IV*. Wyjdzie to na dobre wszystkim, nawet szczerom ładowym.

Sniper Elite V2

◆◆◆◆◆◆



Ostatnie podrygi niemieckiej maszyny wojennej, okupacja Berlina, samotny snajper, Springfield w rękach i Hitler na horyzoncie – wszystko to i wiele

więcej oferuje najnowsza produkcja studia Rebellion. Spiesząc z wyjaśnieniem – tak, w grze można zastrzelić Hitlera. Choć jest to jedna z misji dostępnych za dodatkową opłatą, warto sięgnąć do portfela. Żadna inna gra nie daje możliwości ustrzelenia Führera w jądro, tudzież jądra, bo producenci uparcie twierdzą, że miał dwa. Historia bywa zaskakująca. A co poza tym? Niesamowita zabawa w podchody, satysfakcjonująca kamera z widokiem na pocisk lecący prosto w kro... eee, głowę przeciwnika i rentgen, jakiego uświadczymy po uderzeniu w cel.

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's Rock

War. War never changes

Przed wyruszeniem w drogę
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

Blood for the Blood God!

*

Game Over

Stąd wiadomo o stanie przyrodzenia Hitlera. Boli jedynie jakość sztucznej inteligencji wirtualnych nazistów. Z takimi geniuszami wojna zakończyłaby się nadzwyczajnie szybko. Gdzieś tam między wierszami przeplata się również miła fabuła, która jest pretekstem do strzelania. W sumie nikt nie zauważyłby jej braku.

Bloodforge

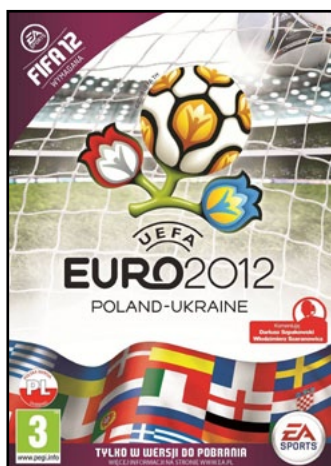


Przyzwolonych rąbanek na konsolę nigdy za wiele. No może prawie nigdy, bo w niektórych przypadkach znacznie lepiej, żeby w ogóle one nie powstawały. Tak jest w przypadku Bloodforge, który stara się aspirować do miana sztuki, jednak słabo mu to wychodzi. Historia opowiada o legendarnym wojowniku, który w amoku walki, zupełnie przez przypadek (bo jakżeby inaczej!?) zabija swoją żonę. Mszczą się na nim bogowie, a on wraz z tajemniczą wiedźmą próbuje wybrnąć z opresji. Fabuła jest tu najmocniejszą stroną tytułu. Cała reszta kuleje i prosi o dobitcie, najlepiej celnym sztychem w serce. Walka swoją tandetą przebija się przez kolejne

poziomy absurdu niczym Spartakus przez swoich wrogów w najnowszym sezonie serialu. Niewiele lepiej jest z pracą kamery, która najzwyczajniej nie nadąża za akcją. O spektakularnych wykończeniach również możemy zapomnieć. Sytuacji nie ratuje nawet specyficzna stylistyka, mieszająca odcienie szarości z kontrastującymi, wyrazistymi obiektami. *Bloodforge* to taki *God of War* dla ubogich.

UEFA EURO 2012

♦♦♦♦♦



Zacząłbym od popularnej już przyspiewki, która będzie towarzyszyć naszym orłom podczas meczów Mistrzostw Europy, jednak byłoby to mało oryginalne. Sparafrazuję zatem: *UEFA EURO 2012* nie jest spoko. I żadne koko tego nie zmienia. Płatny dodatek do najnowszej odsłony *FIFA* prezentuje się tak samo dobrze, jak „cheerleaderki” w utworze Jarzębiny. Zabrakło przede wszystkim licencji na drużyny – trudno jest sobie wyobrazić „oficjalną grę mistrzostw” bez prawdziwego składu

choćaby gospodarzy. Niestety nie trzeba sobie wyobrażać, bo wystarczy zagrać. Prawie połowa z 16 drużyn nie jest licencjonowana, w dodatku zagrać można jedynie zakwalifikowanymi państwami. Puchar dla San Marino stoi zatem poza naszym zasięgiem. Tytuł zmontowany na szybko, z pełną gamą absurdów, doskonale oddaje stan rzeczy – okazji do zarobienia dodatkowych milionów nie można zaprzepaścić. Bo przecież teraz wszystko z logiem Euro 2012 sprzedaje się jak świeże bułeczki...

Prototype 2

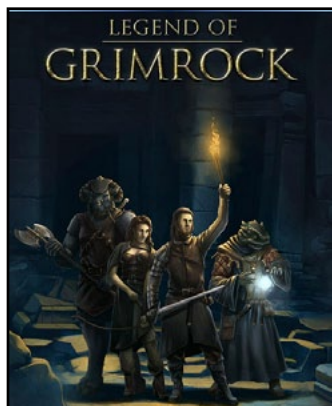
♦♦♦♦♦♦♦♦



Prototype 2 nie zmienił się wiele od czasów części pierwszej. No może poza głównym bohaterem, którym teraz jest czarnoskóry żołnierz, powracający z wojny. Na miejscu zamiast domu wypełnionego rodziną, zastał martwe truchła. Od tej pory jego jedynym celem jest zabijanie, co w sumie nie dziwi, biorąc pod uwagę otaczającą go scenę. Świat *Prototype* po brzegi wypełniony jest szkaradztwem i ludźmi, których jedyną pasją jest zabijanie.

Pomijając naiwną fabułę, całość prezentuje się nadzwyczaj efektownie. Zadowoleni będą przede wszystkim domorośli sadyści. Sposobów eksterminacji nadbiegającego tałatajstwa jest Ci tu dostatek. W połączeniu z nadprzyrodzonymi mocami głównego bohatera i zupełną dowolnością w poruszaniu się po ogromnym mieście dostajemy grę, której warto poświęcić kilka godzin.

Legend of Grimrock



Debiutancki projekt fińskiego studia Almost Human nawiązuje do klasyki gier RPG. I wcale nie chodzi o *Baldur's Gate* czy innego *Fallouta*, a o pewną odnogę gatunkową o dźwięcznie brzmiącej nazwie „dungeon crawler”. *Eye of the Beholder* się kłania, mili Państwo. Starszokolnym wzorem, obejmujemy dowodzenie nad czwórką bohaterów zamkniętych w lochach. Naszym celem nie jest ratowanie świata, a jedynie własnych czterech liter, co jest w zasadzie najlepszym wytłumaczeniem do zabijania kolejnych kreatur stojących na naszej drodze. Oldschool przejawia się tu w każdym elemencie przygody – wal-

ce, rozwijaniu postaci czy przemierzaniu lochów. To ostatnie wiąże się także z orientacją w terenie – właściwą drogę musimy zapamiętać bądź rozrysować sobie na kartce. *Legend of Grimrock* nie stroni także od zagadek logicznych, które skutecznie sprowadzają szare komórki do parteru. Najmłodszy pewnie tego fenomenu i tak nie rozumieją, lecz starszym powinna się zakręcić łezka w oku.

Diablo III



Pana Zniszczenia nie trzeba chyba nikomu przedstawiać. A jeśli trzeba, to znak, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu. Niemożliwe stało się możliwe, ponad dekada wyczekiwania, pochłaniania pojedynczych informacji i ślinienia się nad każdym opublikowanym obrazkiem idzie w niepamięć. Zło powróciło. A wraz z nim masa zarwanych nocy i kryzysów w związkach. *Diablo III* nie uniknęło nowoczesnych rozwiązań – do gry wymagane jest stałe połączenie z Internetem, co może nie jest wielką przeciwnością, jednak może iryto-

wać. Poza tym to stare, dobre Diablo, z mrocznym klimatem i masą naprawdę satysfakcjonującej walki. Grzechem ciężkim jest nie zagrać. Szczególnie, gdy kilku znajomych właśnie przechodzi drugi akt i „miota nimi jak szatan”.

Street Fighter x Tekken



Za samą możliwość skonfrontowania Paula z Ryu najnowszej produkcji studia Capcom należą się kudosy. Twórcy wpadli na genialny pomysł i połączyli dwie najbardziej rozpoznawalne bijatyki na świecie. Czyżby miks iście doskonały? Nie przesadzajmy, jednak warto zaznaczyć, że wykonanie jest znacznie lepsze niż w bliźniaczym Street Fighter IV, za co należy się uznanie. Poprawiono balans, dzięki któremu gra jest mniej irytująca. Szkoda tylko, że zabrakło miejsca dla Eddiego, który od kilkunastu lat zachwyca nas swoim brazylijskim tańcem na łamach Tekken. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Zwłaszcza, że grę wydano także na komputerach osobistych. A wszyscy doskonale wiemy, jak wiele dobrych bijatyk ukazało się na tej platformie.

Blades of Time



Blades of Time to kontynuacja słabo przyjętego X-Blades. Jednak w tym przypadku można zauważyć znaczący postęp. Przede wszystkim zrezygnowano z taniej i tandetnej golizny rodem z wieczornych filmów telewizji Puls na rzecz bardziej poważnej stylistyki, pozytywnie wpływającej na ogólne wrażenia z gry. Cóż, żerowanie na krągłościach i skąpym wdzięku głównej bohaterki najwidoczniej nie przyniosło pożądanych efektów. Może twórcy zapomnieli, że dzieci gier i tak nie kupują. Abstrahując od jedyńki, kontynuacja to bardzo przyjemny slasher z elementami logicznymi i ciekawymi rozwiązaniami. Ot, chociażby cofanie czasu działa tutaj wyśmienicie. Cudów oczekiwać nie można, lecz spoglądając na niezbyt pozytywną przeszłość producenta, dłonie same składają się do oklasków. W końcu ktoś tu poszedł po rozum do głowy.

Opracował: Wojciech Onyszków

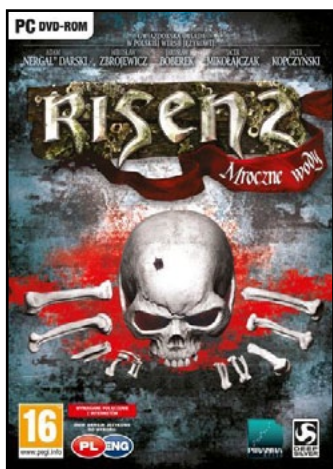
RPG *zakrapiane rumem*

Piranha Bytes trafia do gustu polskim graczom z każdą kolejną produkcją. To chyba ten specyficzny klimat występujący w ich tytułach. Nikt przecież nie zaprzeczy, że „brudny” Gothic idealnie wpasowuje się w konwencję polskiego wyobrażenia fantasy, o czym zresztą świadczą raporty finansowe. Po utraceniu praw do swojej marki, Piranie porzuciły dotychczasowy koncept i umiejscowiły nową serię w bardziej egzotycznych sceneriach. O ile pierwsza część **Risena** nawiązywała jeszcze do Gothica, tak dwójka stała się zupełnie odrębną przygodą, opowiadającą o... piratach.

Pirackie wstawki pojawiały się już co prawda w tytułach naszych zachodnich sąsiadów, stanowiły one jednak marginalne znaczenie. Tym razem motywem przewodnim są legendarne opowieści o kapitańskich przygodach, tajemnicze skarby, niebezpieczne klątwy i – a jakże – rum! Do pełnego oblicza pirackiej historii brakuje jedynie dziewczek por-

towych. Te co prawda występują, ale w znikomych ilościach i w grze są raczej bezużyteczne.

Nim jednak zostaniemy rasowym piratem, zobaczymy naszego protagonistę w opłakanym stanie. Bidulka po wydarzeniach z pierwszej części strasznie podupał. Najwyraźniej służba w Inkwizycji niezbyt przypadła mu do gustu, bo chłop rozpił się strasznie. Dość powiedzieć, że w portowych magazynach zabrakło grogu, o rumie już nawet nie wspominając. Pewnej burzliwej nocy potwór morski pochłania nadpływający do portu statek, a nasz bohater zostaje wysłany na nadbrzeże w celu poszukiwania rozbitków. Dziwnym zbiegiem okoliczności jedyną ocalałą jest Patty – sympatyczna córka legendarnego pirata Stalowobrodego. Zeznaje ona, że morza są wzburzone, a żeglarze zabijani przez wysłanników Mary – władczyni głębokich wód. Naszym zadaniem, początkowo z ręki Inkwizycji, będzie odszukanie tajemniczej świątyni i rozprawienie się z wysłanniczką bogów.

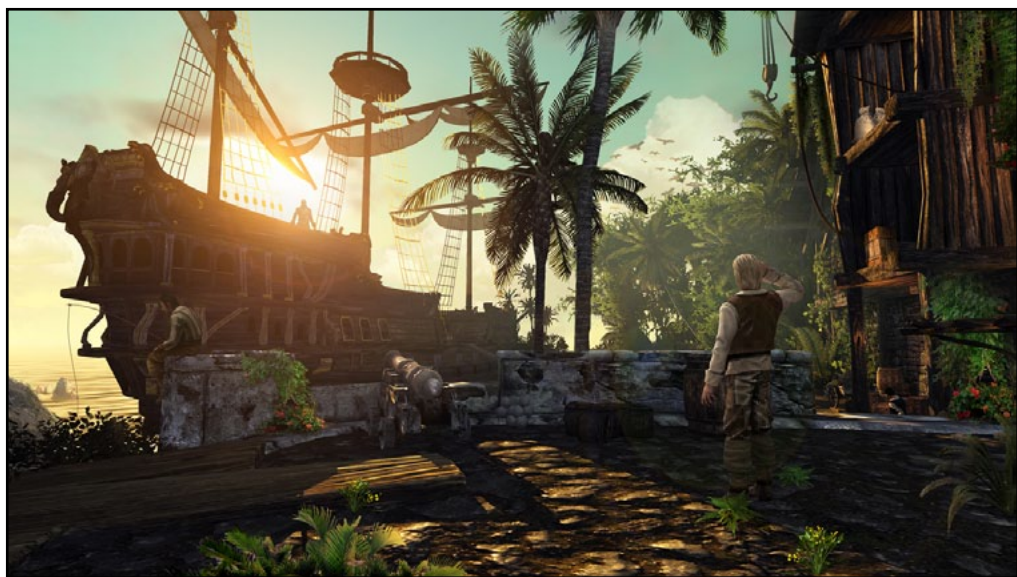


Risen 2

Tak ogólnikowo prezentuje się fabuła. Trzeba przyznać, że podczas wypełniania kolejnych misji główny cel naszej przygody wielokrotnie się zmienia. Przez większość czasu gdzieś tam w oddali widnieje wizja walki z Marą, jednak dookoła jest tyle rzeczy do zrobienia, że zwyczajowo nie zwracamy sobie tym głowy. I jest to główna siła napędowa tytułu. Swoboda, do której przyzwyczaili nas już programiści z Piranha Bytes przejawia się poprzez konstrukcję poszczególnych zadań. Zazwyczaj istnieje kilka rozwiązań, a wybór zależy przede wszystkim od naszego stylu gry. Nie będzie wielkim spoilerem, jeśli zdradzę, że w pewnym momencie dorabiamy się własnego statku. Dzięki temu sami decydujemy, którą wyspę chcemy odwiedzić i które zadania wykonać. Jest to nowość w serii – wcześniej poruszaliśmy się jedynie po wyznaczonych częściach świata.

A trzeba przyznać, iż każda wyspa kryje w sobie wiele tajemnic. Dopływając do portu, zbieramy zadania, słuchamy opowieści o skarbach ukrytych w dziczy, kupujemy zapasy i... wbrew morskiej naturze wybieramy się w głąb lądu. Możemy być pewni, że podczas wyprawy spotkamy na swojej drodze wiele dziwnych, często zabawnych sytuacji i wynaturzeń. Projekty wysp zasługują na duże uznanie. Poznając nowe tereny bez mapy, często zastanawiamy się, jak tu u licha wrócić do portu. Sytuacja się nie poprawia, gdy słońce chowa się za nieboskłonem, a do naszych uszu dobiegają niepokojące dźwięki nocnych stworzeń. W tym właśnie tkwi sekret świetnego klimatu – większość rzeczy dzieje się niezależnie od nas, a świat wręcz tętni życiem – o ile nie plądrujemy aktualnie którejś ze starożytnych świątyń. Wtedy bowiem zamiast życia spotykamy śmierć, często w chodzącym wynaturzeniu.





Risen 2: Mroczne Wody zrywa z koncepcją bohatera, który w wyniku splotu wydarzeń zapomina wszystkie zdolności, jakie nabył w poprzedniej części. Tutaj po prostu wykorzystujemy inne cechy, których musimy się nauczyć od podstaw. System rozwoju bohatera przeszedł ogromne zmiany. Zrezygnowano z punktów nauki, zamiast tego zdobywamy chwałę, którą bezpośrednio zamieniamy na przydatne umiejętności. Każdy kolejny stopień wtajemniczenia kosztuje nas, z oczywistych względów, więcej chwały. Ponadto u portowych nauczycieli możemy poznać cenne sztuczki za jeszcze cenniejsze złoto. Pogrupowanie zdolności w cztery główne ścieżki w klarowny sposób przedstawia rozwój naszego protagonisty. Bezimienny może się szkolić w walce wręcz, w broni palnej, magii voodoo oraz podłych sztuczkach. Te ostatnie szczególnie przykuły moją uwagę. Dzięki nim możemy sygnąć przeciwnikowi solą po oczach czy też

naślać na niego upierdliwą papugę. W końcu co by z nas był za pirat, gdyby na ramieniu nie siedział nam kolorowy ptak? Beznadziejnie prezentuje się natomiast voodoo, które całkowicie wyparło klasyczną magię żywiołów. Możemy niby czarować jakimiś berłami, zaklinać laleczki, jednak wszystko to w walce sprawdza się bardzo słabo. Twórcy nie przeżyli tego aspektu, wszak można było stworzyć coś o wiele bardziej skutecznego przy jednoczesnym zachowaniu specyficznego klimatu.

Bo trzeba przyznać, że drugi *Risen* obraca się w trochę innych realiach. Nie uświadczymy typowego świata fantasy. Owszem, występują tu potwory, nieumarli i wszelkiej maści szkaradztwa, całość wsadzona jest jednak w twarde okowy mocno stąpających po ziemi (czy też może w tym przypadku – pokładzie) piratów. Wszelkie potworności traktowane są tu jako ciekawostki i wywołują zdziwienie na twarzy lokalnych mieszkańców.

Na pochwałę zasługuje również oprawa graficzna. Bieganie po żółtych, piaszczystych plażach to sama przyjemność. Widoki te ze spokojem mogłyby reklamować wycieczki w biurach podróży i gwarantuję Wam – wiele osób skusiłoby się na taki urlop. Sprawa nie wygląda wcale gorzej, gdy zagłębimy się w dżunglę. Drugiej takiej nie widziałem już od dawna w żadnej grze. Złe dzieje się natomiast w kwestii animacji. Te są sztywne, co szczególnie razi na samym początku gry. Z czasem niby oko przyzwyczaja się do takiego stanu rzeczy, jednak nie każdy będzie w stanie przywyknąć do teatrzyku kukiełek, jakimi są postacie występujące na ekranie. Pod tym względem *Risen 2* leży, kwiczy i skamle, żeby p olać mu rumu.

Pomimo całej swojej złożoności, tytuł ten jest pozycją na jeden raz. Twórcy narzucali do środka całą masę przedmiotów, które praktycznie nie mają żadnego znaczenia dla rozgrywki bądź też pojawiają się zbyt późno, by móc odpowied-

nio się nimi nacieszyć. Jest tak chociażby w przypadku pewnego miecza, którego musimy uprzednio skompletować i przekuć. Owszem, cacko jest mocne i warte zachodu, jednak pojawia się pod koniec gry, więc gdzieś przy okazji przepada jego potencjał. Z drugiej strony brakuje na przykład większego zróżnicowania pancerzy, które w przypadku piratów stanowią po prostu ubrania.

Widać, że twórcy w wielu aspektach niezbyt przemyśleli swoje rozwiązania, bądź też mieli ochotę zrobić jeszcze większą grę, jednak czas dość brutalnie zweryfikował ich zamiary. Nie podlega jednak wątpliwości, że *Risen 2: Mroczne Wody* jest pozycją obowiązkową dla fanów pirackich klimatów bądź też wcześniejszych tytułów producenta. Jeden z lepszych CRPGów tego roku, choć oczywiście w bezpośredniej konfrontacji z *Mass Effect 3* i tak nie ma szans. Tylko czy powinno się porównywać aż tak odmiennie produkcje?

Wojciech Onyszków



Indiana Jones

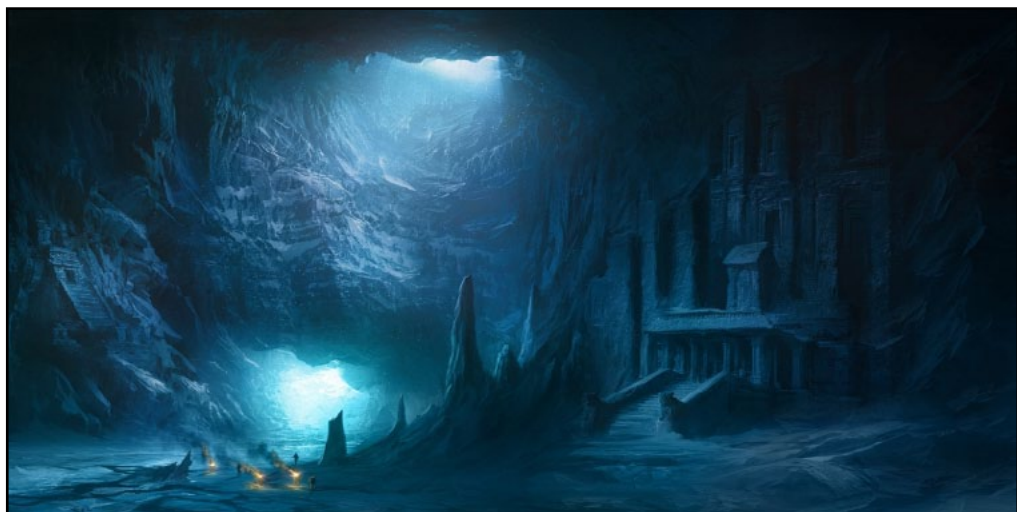
w polskim wdzianku

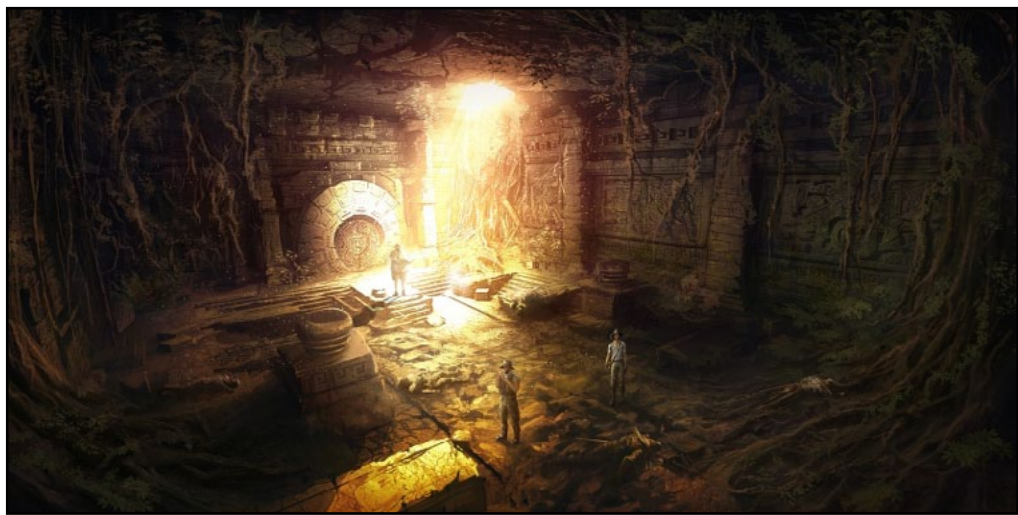
The Farm 51 kojarzone jest głównie z serią **NecroVision**, która kontynuuje polską tradycję wydawania gier na modłę kultowego **Painkiller**. Masa przeciwników i wszechobecny chaos to główne elementy pojawiające się na ekranie. Czy podobnie będzie z nową produkcją studia, która ambitnie nawiązuje do klasycznego kina przygodowego? A może akcja zwolni na chwilę, by w oryginalny sposób zaszerwować nam ciekawą opowieść, okraszoną niegorszym klimatem?

Twórcy nie ukrywają, że *Adventurer* wzorowany jest na najlepszych tytułach gatunku – serii *Uncharted* oraz *Tomb Raider*. W przeciwieństwie jednak do Nathana Drake’a i panny Croft, naszego protagonistę ujrzymy co najwyżej w przerywnikach filmowych, bowiem całość zostanie przedstawiona z perspektywy pierwszej osoby. Rozwiązanie to wprowadza do gatunku pewne in-

nowacje. Nie uświadczymy tu elementów platformowych, jakże irytujących w innych produkcjach. Zamiast tego skupimy się na walce z przeciwnikami i szukaniu starożytnych skarbów.

Fabula gry dotyczyć będzie tajemniczych kawałków asteroidy, która wieki temu uderzyła w Arktykę. Mistyczne artefakty mają magiczne właściwości, dające aktualnemu posiadaczowi nie-





śmiertelność. Oczywiście zatem jest to, że w przededniu drugiej wojny światowej, zarówno strona niemiecka, jak i ZSRR chce wejść w posiadanie tego skarbu. Na taki obrót spraw nie zgadza się pochodzący z San Francisco prywatny detektyw – Vic Chandler, który rozpoczyna własne śledztwo.

Historia, o ile brzmi infantylnie, nawiązuje do kinowej klasyki, wśród której wymienić można *Indianę Jonesa* czy trochę nowszą *Mumię*. Świadczy o tym chociażby umiejscowienie samej akcji. Oprócz wspomnianej już Arktyki odwiedzimy także Egipt, gdzie nie zabraknie tajemniczych piramid, oraz Amerykę Południową, skrywającą tajemnicę starożytnych cywilizacji.

Rozgrywka zostanie podzielona na dwa zasadnicze elementy. Jednym z nich będzie walka, drugi zmusi nas do wysilenia szarych komórek przy prostych łamigłówkach. Twórcy zapewniają, że ich poziom nie będzie wygórowany, by zbytnio nie spowalniać akcji. Takie rozwiązanie może być strzałem w dziesiątkę. Z jednej strony do naszych żył adrenalinę pompować

będzie emocjonująca walka, z drugiej zaś zagadki logiczne skutecznie ostudzą temperament. Takim oto sposobem żaden z tych elementów nie zdąży się znudzić.

Potyczki z wrogami cechują się kilkoma innowacyjnymi rozwiązaniami. O ile wymiana ołowiu z żołnierzami Trzeciej Rzeszy i ZSRR stanowi klasykę pierwszoosobowych strzelanin, o tyle zatargi z nieumarłymi zapowiadają się nad wyraz ciekawie. Na naszej drodze staną różnego rodzaju mumie i żywe trupy odporne na działanie broni konwencjonalnej. Nie przepadają natomiast za światłem, co w skrzytny sposób będzie trzeba wykorzystać. Sprowadzać się to będzie do przyświecania jedną ręką w kierunku nacierającego ścierwa, by drugą pruć z pistoletu w nadziei, że ołów skutecznie zniechęci przeciwnika do dalszego pościgu.

W lewej ręce, oprócz latarki, zagości kompas wskazujący drogę do skarbów oraz notatnik, który w czasie rzeczywistym będzie pokazywał cele misji, jak również przydatne wskazówki. Takim oto sposobem programiści zrezygno-



wali z osobnego menu, w którym byliśmy informowani o tych kwestiach. Z pewnością wpłynie to pozytywnie na immersję z głównym bohaterem.

Dobra strzelanka musi się cechować pokaznym asortymentem broni palnej. *Adventurer* pod tym względem zaskakuje. Jako że fabuła rozgrywa się w 1938 roku, możemy się spodziewać całej gamy przedmiotów znanych z czasów drugiej wojny światowej. Oprócz tego, w nasze ręce wpadną także mniej eksploatowane modele. Za przykład niech posłuży protoplasta popularnej „pepeszy” – fiński Suomi, czy też austro-węgierski pistolet samopowtarzalny Roth-Krnka M.7. Entuzjaści epoki zadowolą się około 30 różnymi modelami broni, co jest imponującym wynikiem.

Istotnym elementem będą także pułapki, bez których *Adventurer* po prostu nie mógłby się obejść. Aby jednak nie irytować za bardzo gracza, ich skuteczność zostanie odpowiednio dostosowana do przebiegu gry. Pojedyncza wpadka nie zabije protago-

nisty, jednak całkowite zignorowanie tej kwestii szybko zakończy się efektownym zgonem. Co najważniejsze, dzięki specjalnemu trybowi detektywistycznemu będziemy mogli poznać ich położenie. Wiedza ta stanie się przydatna w momencie planowania kolejnej walki z przeciwnikami.

Całość okraszona zostanie przyzwoitą grafiką, generowaną przez znany Unreal Engine 3.0, który idealnie wpasowuje się w klimat poszukiwaczy przygód. Zważając na technologię, możemy spodziewać się nastawionego na wartką akcję systemu strzelania, bez zbędnych zaawansowanych obliczeń spowalniających rozgrywkę.

7 godzin – na tyle według zapewnień twórców powinien wystarczyć polski Indiana Jones. Czy przez ten czas poznamy interesującą opowieść i zwiedzimy unikatowe miejsca? Wszystko zapowiada się nad wyraz ciekawie, lecz przekonamy się o tym dopiero w nadchodzącym roku.

Wojciech Onysków

Diablo *bez stania w nocnej kolejce*

Jeszcze do niedawna **ściągnięcie gier z Internetu** kojarzyło się w Polsce tylko i wyłącznie z piractwem. Jednak świat się zmienia a technologia rozwija. Ludzie stają się coraz bardziej leniwi i poszukują wygody. Czy cyfrowa dystrybucja gier to krok w dobrą stronę? Czy jest to bezpieczne? I przede wszystkim – jak to się ma do polskich realiów?

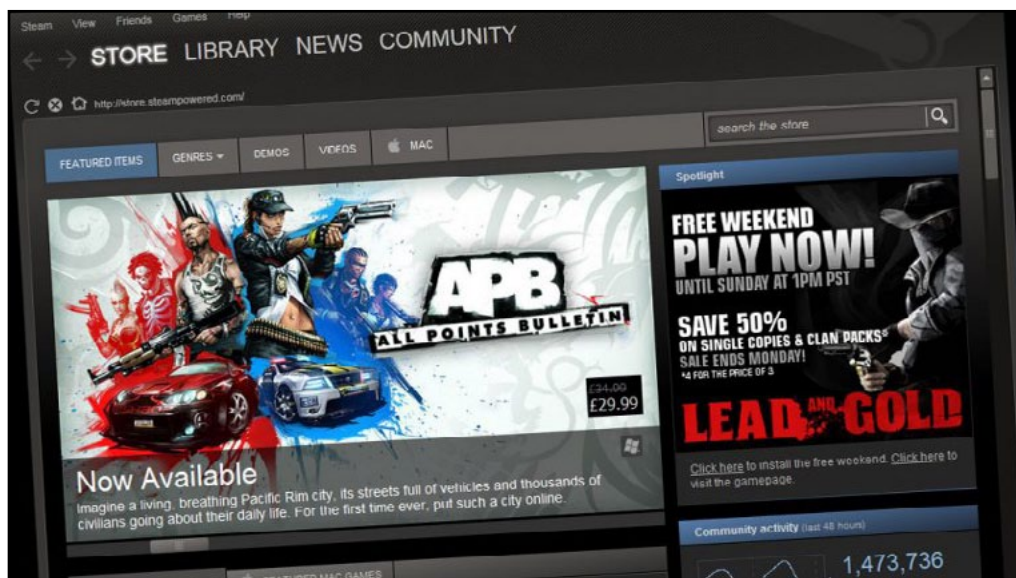
Kilkanaście dni temu swoją premierę święciła najbardziej wyczekiwana gra ostatniej dekady – *Diablo III*. Wiele sklepów w całej Polsce przeprowadzało tak zwaną nocną premierę, czyli sprzedaż o północy. Setki osób ustawiało się w kolejkach, tłoczyło, mdlało i przeklinało, aby dostać swój upragniony egzemplarz gry. Tym szczęśliwcom (o ile można nazwać tak osoby, które zostały stratowane w tłumie) się udało. Reszcie, która chciała dokonać zakupu na drugi dzień, już niekoniecznie. Sklepy szybko opustoszały, a kolejne dostawy zaplanowano dopiero na kilka dni po premierze. Dla fana *Diablo* jest to rzeczą niewyobrażalną...

Tak, jestem zwolennikiem cyfrowej dystrybucji i namawiam do niej. Jest to

nie tylko wygoda, lecz również profity dla twórców gier. Odchodzą spore koszty produkcji, pakowania i wysyłki do sklepów. Odchodzi działka wielu pomniejszych pośredników. Większość pieniędzy trafia do rąk producenta, który swoją marżę musi się podzielić już jedynie z platformą, na której produkt jest sprzedawany. Daje to niesamowite pole do popisu dla małych studiów deweloperskich, które w normalnych warunkach nie byłyby w stanie wydać własnej gry. Dzięki cyfrowej dystrybucji jest to możliwe, a co najważniejsze – także opłacalne.

Najważniejsza jest oczywiście cena. W przeliczeniu na polskie realia nie wygląda to kolorowo. Kilkadziesiąt euro za premierową pozycję to trochę za dużo, biorąc pod uwagę krajowe zarobki. I jest to niestety fakt prawie nie do przeskoczenia. Prawie, ponieważ zawsze można przeczesać Allegro w po-





szukiwaniu kluczy cyfrowych, które później z powodzeniem wklepujemy w daną platformę dystrybucji cyfrowej i cieszymy się grą. Uwaga jednak na oszustów, którzy oferują produkt nieakceptowany przez niektórych dystrybutorów. Dużo bezpieczniejsze są przeceny i różne promocje. Steam, który jest najpopularniejszym sklepem dystrybucji cyfrowej gier, przyzwyczaił nas do cotygodniowych obniżek weekendowych. Często i gęsto możemy zaopatrzyć się w naprawdę ciekawą pozycję za kilka złotych. W porównaniu z sumą, jaką cotygodniowo Polacy wydają na „jedno piwko”, są to śmieszne pieniądze. Trend ten w ostatnim czasie podchwyciły także inne sklepy, oferując swoje produkty w obniżonych cenach.

Skoro już przy sklepach jesteśmy – najważniejszy i największy jest Steam, należący do firmy Valve, która odpowiedzialna jest za serię *Half-Life* czy też *Counter-Strike*. Znajdziemy tam

największy zbiór gier i najlepszą obsługę. Każdy użytkownik dostaje własne konto, na którym przechowywane są zakupione przez niego tytuły. Ma on do niego dostęp z każdego komputera i na każdym z nich może zainstalować swoje gry. Większość nowych pozycji obsługuje również możliwość przechowywania plików save w chmurze. Zatem nie musimy własnoręcznie kopiować stanów gry. Po prostu włączamy ulubiony tytuł na innym komputerze przy wykorzystaniu własnych danych, a program sam synchronizuje wszelkie dane.

Potencjał cyfrowej dystrybucji dostrzegły także inne firmy i w dość szybkim czasie powstała masa sklepów oferujących swoje dobra drogą elektroniczną. Rozdrobnienie wychodzi oczywiście na plus dla użytkownika, bo przekłada się na konkurencyjne ceny. Z drugiej strony, posiadanie kilku kont w różnych sklepach może być uciążliwe. Warto zatem podczas zaku-

pu w innych sklepach zorientować się, czy dana gra wymaga do swojej obsługi platformy Steam. W pozytywnym przypadku wystarczy później przypisać kod do swojego konta.

Samemu używam tylko trzech platform cyfrowej dystrybucji. Origin należący do Electronic Arts ze względu na wyłączność posiadania gier od tego producenta. Battle.net przynależny do Blizzarda, którego nikomu przedstawiać nie trzeba. Trzecim jest wspomniany Steam, służący za wirtualną półkę dla reszty gier. Do tej trójki mam pełne zaufanie. Nigdy się nie zdarzyło, abym stracił swoje dane na rzecz podstępного hakera czy innego internetowego zjawiska.

Jedynym minusem, dla niektórych nieprzekraczalnym, jest brak namacalnej kopii gry. Nie otworzymy pudełka, nie przejrzymy instrukcji (choć te zazwyczaj dodawane są w formie elektronicznej) i co najważniejsze, nie

postawimy na półce, by wzbudzała zazdrość odwiedzających nas znajomych. Kolekcjonerzy mogą zatem zapomnieć o cyfrowej dystrybucji i nadal prowadzić poszukiwania za namacalną wersją gry. Tylko że niektóre pozycje wydawane są już wyłącznie w formie elektronicznej, jak chociażby *Legend of Grimrock*, który jednocześnie swoją formą nawiązuje do najbardziej old-schoolowych czasów gier.

Plusy znacznie przewyższają minusy cyfrowej dystrybucji. Jest to szybsze, wygodniejsze, a nawet bardziej ekologiczne, co szybko powinno przekonać do siebie zwolenników koloru zielonego. A co z kolekcjonerami? Wątpię, by producenci zrezygnowali z wypasionych i drogich edycji specjalnych, przeznaczonych dla fanów danego tytułu. I tym optymistycznym akcentem...

Wojciech Onyszków

Czytasz za darmo? Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma!

Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją!

To tylko 1.23 zł, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** [1.23 zł]

ACTA

na spokojnie...

Co z ACTA?

Czy ktoś jest w stanie powiedzieć, co się dzieje z ACTA? Temat zupełnie umilkł, a przecież sprawa nie doczekała się zakończenia. Czy te ogromne grupy protestujących ludzi zadowolili się ogólnikowymi zapewnieniami rządu o zmianie stanowiska? Czy naprawdę chodziło tylko o to, aby premier powiedział, że „się pomylił” i... właściwie nic z tym nie zrobić? W czerwcu nad ACTA ma głosować Parlament Europejski. Może wówczas temat powróci. Do tego czasu mamy możliwość przemyślenia problemu na spokojnie – bez emocji, jakie wywołują protestujące tłumy.

Po co ACTA?

Sprawa jest prosta: za pracę należy się wynagrodzenie. Artystom również. Każdy, kto chociaż raz nie dostał zapłaty za swój ciężki wysiłek, wie jak to boli. Należy więc tego oszczędzić szczególnie artystom, których się ceni i którym przecież życzy się jak najlepiej.

Dyskusja zaczyna się w tym miejscu.

ACTA jest propozycją, która idzie w zupełnie archaicznym kierunku. Nikt wprawdzie nie neguje 90% jej treści,

które dotyczą takich spraw, jak znaki towarowe na produktach itp. Niestety, w przypadku zapisów dotyczących Internetu autorzy zdają się zupełnie nie dostrzegać całkowicie odmiennej natury rzeczy. Można odnieść wrażenie, że kopie plików rozumie się tak samo, jak kopie markowych ciuchów. Tym samym zrównuje się elektroniczny zapis z materialną podróbką i próbuje się obu zjawiskom zapobiegać w podobny sposób.

Dlaczego warto krzyczeć

Po pierwsze dlatego, że mainstreamowe media milczą lub bredzą od rzeczy, koncentrując się najczęściej na nieistotnych szczegółach, takich jak letnie obuwie zimą jednego z demonstrantów (!). Nawet popularny serwis z plotkami o nazwie Pudelek opublikował sto razy bardziej treściwy felieton na temat ACTA, niż wszystkie polskie telewizyjne programy informacyjne razem wzięte. Zgodnie z zamysłem był to najlepszy przykład na to, jak bardzo zawiodły WSZYSTKIE najważniejsze media, skoro portal tak niskich lotów dał im taką lekcję.

Za braniem udziału w demonstracjach przemawia również arogancja elit. Już sama tajność procesu negocjacji i nadal utrzymywane utajenie tzw. dokumentów okołotraktatowych jest wystarczającym dowodem arogancji. Jednak jej prawdziwy popis miał miejsce w styczniu i lutym. Demonstracje były przecież naprawdę ogromne – a jakie byłyby

latem!? Nie wiem, czy jakkolwiek inna sprawa od dwudziestu kilku lat zgromadziła tyle osób na ulicach tylu miast. Tymczasem nasz rząd (i nie tylko nasz) wydawał się co najmniej niewzruszony (żeby nie użyć mocniejszych określeń). Było to zachowanie dalekie od „reprezentowania narodu”, przez który zostało się wybranym.

Problemem jest nie tylko arogancja, lecz również oderwanie od rzeczywistości osób i instytucji, które podejmują decyzje. O tym głównie traktował artykuł na Pudelku, więc teraz w skrócie: na przykładzie ACTA widać w jak bardzo innym świecie żyją ludzie, którzy decydują o naszych realiach. Zupełnie

nie kojarzą, że wielka część narodu zarabia w okolicach minimalnej krajowej i że takich osób nie stać na legalną kulturę. Większość z nich, i to z wysiłkiem, może się wybrać na jeden seans kinowy lub koncert w miesiącu – a czy taki los chce nam zafundować „Ustawodawca”*, abyśmy mogli obejrzeć tylko jeden nowy film miesięcznie?



Co zamiast ACTA?

Jeżeli człowiek nie ma pieniędzy, to nie może ich wydać. Dlatego skuteczna likwidacja piractwa przy jednoczesnym utrzymaniu cen legalnych wydawnictw zaowocuje jedynie spadkiem popularności artystów.

W skali całej gospodarki nie sposób zarobić na branży rozrywkowej więcej, niż jest w obiegu pieniędzy, które

konsumenci przeznaczyci na wydatki w tej dziedzinie. Żadne przepisy prawne nie pomogą w osiągnięciu niemożliwego celu. Jedyne co można robić, to obniżać ceny tak, aby przychody z rozrywki rozchodziły się równomiernie i trafiały do większej liczby twórców.

* „Ustawodawca” to ładne określenie używane w prawie, za którym kryje się cały szereg nie tylko polityków, lecz również firm lobbujących pewne rozwiązania, na których – jak są przekonani – mogą więcej zarobić.

Oprócz niskich cen potrzebna jest również właściwa „edukacja”. Artysta musi jeść, czasem (albo trochę częściej) się napić... Generalnie potrzebuje pieniędzy, jak każdy z nas. Problem z nim polega na tym, że zamiast pójść do pracy, poświęca swój czas twórczości – za co my jesteśmy mu wdzięczni, bo możemy się nią cieszyć. Aby jednak miał pieniądze, powinniśmy mu za tę twórczość zapłacić, bo bez pieniędzy będzie musiał porzucić swoją działalność i wrócić do zwykłych zajęć, które nie dadzą nam więcej radości. Proste, prawda? Przestańmy więc oszukiwać samych siebie i łagodzić rzeczywistość na własną korzyść. Ściągając twórczość z Internetu naprawdę okradamy artystów! Jesteśmy jednak do tego zmuszani niskimi zarobkami i wysokimi cenami, więc albo kradniemy, albo mamy bardzo skromne życie kulturalne. Powinniśmy jednak mieć świadomość,

że nic się nie należy za darmo, bo nic też za darmo nie powstaje. Gdyby całe społeczeństwo było tego świadome, to nie trzeba byłoby go ścigać, bo w ludzkich sumieniach narastałoby poczucie zobowiązania względem twórcy. Zobowiązania, które najlepiej jest spłacić gotówką, przelewem, bądź SMS-em.

Przy okazji, ciekawy przykład daje grupa Me Myself And I, która na swojej stronie udostępnia pliki MP3 po wpisaniu kodu z SMS-a. Jego cenę możemy wybrać samodzielnie (w zakresie od złotych do 11 zł). Świadome społeczeństwo wysyłałoby masowo takie SMS-y artystom, których ceni. Jeśli tylko byłoby je na to stać.

Co po ACTA?

Jeśli najczarniejsze wizje się zrealizują, to czeka nas niełatwy okres, który w dodatku może trwać całkiem długo. Prohibicja w Stanach trwała 13 lat, za-



nim się zorientowano, że nie ma sensu. Zakaz palenia marihuany w większości krajów świata utrzymuje się znacznie dłużej, a przecież rozwiązanie problemu jest proste. ACTA, przynajmniej w najgorszej interpretacji, na dłuższą metę nie służy nikomu i tym upodabnia się do powyższych przykładów. Prędzej czy później zostanie zatem wycofane lub zmienione. Jednak do tego czasu może być niewesoło. Możemy zostać zmuszeni do niezłego kombinowania lub zamknięcia się na cały piękny świat kultury i ograniczenia swoich zainteresowań do mainstreamowej papki.

Wiem jednak, że z natury wszelkie ograniczenia dążą do wynalezienia sposobów na ich obejście i takie rzeczy będą miały miejsce. Trudno przewidzieć, jakie dokładnie będą to rozwiązania (tak jak pan Belka nie przewidział lokat z dzienną kapitalizacją odsetek, które rządziły przez kilka lat...), lecz na pewno będą powstawały nowe rozwiązania prawne oraz mniej legalne, a bardziej praktyczne, które pozwolą w znacznym stopniu utrzymać stary porządek.

Wreszcie. Przede wszystkim wydaje mi się, że ten najczarniejszy scenariusz wcale się nie zrealizuje. Zakładałam, że jednak niewiele się zmieni, bo to wszystko już kiedyś było. Chociażby obciążenie usługodawców odpowiedzialnością za treści na portalach wprowadziła już ustawa z 18 lipca 2002 r. Nie wierzycie? Sprawdźcie: Dz.U. z 2002 r. nr 144, poz. 1204, art. 14.

Poza tym jest całkiem możliwe, że ACTA nie zostanie w ogóle podpisane. W końcu przeciw silnemu lobbowaniu ze strony amerykańskich eksporterów rozrywki stanęły równie silne korporacje internetowe, takie jak Google, Facebook, czy Twitter, które nie chcą brać na siebie żadnych dodatkowych

obowiązków (czyt. kosztów), a teoretycznie musiałyby w związku z wprowadzeniem w życie nowego prawa. Siły są wyrównane. Zakładając, że rozchodzi się o pieniądze, można uznać, że zadziałają również inne grupy interesów, które przez ACTA mogłyby być poszkodowane.

Strach przed ACTA jest raczej strachem przed niewiadomym niż przed realnym zagrożeniem. Nadal nie wiemy, co właściwie oznacza wiele zapisów tego projektu. Co jest najdziwniejsze, żaden rząd nie spieszy się z wyjaśnieniami. Niepewność ludzi jest podtrzymywana, jakby elitom było na rękę dalsze pobudzanie zamieszania. Jest to sytuacja co najmniej dziwna. Trudno określić motywację światowych rządów w forsowaniu tak dziwnego tworu, powodującego tak wielkie niepokoje – a to wprawia nas w jeszcze większą niepewność. Trzeba krzyczeć, że nam się to nie podoba. Chociaż należy mieć na uwadze to, czy przypadkiem nie odgrywamy roli w jakiejś dobrze zaplanowanej grze. Nie bądźmy jednak zbyt nieufni, bo może jest to dobra gra. W końcu powszechnie został poruszony bardzo ważny temat.

Tadeusz Bisewski

Niech dyskusja trwa!

Temat dla zwolenników darmowego pobierania: *jak artyści mają zarabiać, gdy ich twórczość jest dostępna za darmo w Internecie?* Dla zwolenników ACTA: *jak ma wyglądać legalne życie kulturalne Polaków, gdy na nic nie będzie ich stać, a do nielegalnych kopii nie będą mieli dostępu?* Propozycje solidne i dobrze napisane możemy opublikować na łamach naszego pisma. Ktoś chętny?

3 rzeczy, które popsul nam facebook

Życzenia urodzinowe

Nie ma już z nich żadnej przyjemności. Świadomość, że otrzymujemy życzenia tylko dlatego, że jakiś portal wyświetlił informację o naszych urodzinach, całkowicie pozbawia radości. Z kolei nieotrzymanie zbyt wielu życzeń też jest irytujące – czyżby nikt mnie nie lubił? Podobnie z ich składaniem: nie życzyć w ogóle jest głupio, ale pisać na siłę to też żadna przyjemność. Życzenia urodzinowe przestały być fajne i popsul nam je właśnie Facebook.

Reklama profilowana

Pewnie nie uwierzycie, ale to napiszę: reklama profilowana jest dobra. Nie mam nic przeciwko otrzymywaniu informacji, np. od agencji koncertowych na temat ich planów, nawet jeśli o to nie prosiłem. Co innego, gdybym bez powodu otrzymywał newsy dotyczące pasz dla zwierząt lub sprzętu dentystrycznego. Reklama, która mnie interesuje, jest po prostu informacją, z której mogę skorzystać. Im więcej takich informacji, tym lepiej, bo przecież po nie właśnie sięgam do Internetu. Nie ma zatem nic złego w tym, że jakiś portal zbiera informacje o moich zainteresowaniach i korzystając z nich, wyświetla mi reklamy, które mnie interesują. Nie ma... do czasu! Problem z Facebookiem

jest taki, że (przynajmniej teoretycznie) wymaga on od użytkowników podania prawdziwych danych osobowych. W ten sposób nasz profil zainteresowań przestaje być informacją o „pewnym użytkowniku”, identyfikowanym za pomocą nazwy bądź numeru. Na Facebooku dane o nas zostają skojarzone z naszym imieniem i nazwiskiem, miejscem zamieszkania, numerem telefonu. W ten sposób przekroczona zostaje linia, za którą mamy już do czynienia z inwigilacją.

Zaufanie do Internetu

Jest prawdą, że każda informacja, jaką kiedykolwiek tam opublikujemy (nawet jeśli ją później „usuniemy”), pozostanie na serwerach Zuckerberga już na zawsze. W ten sposób Facebook na skalę światową podważa zaufanie użytkowników do Internetu. Bo im więcej uczynimy w Internecie, tym więcej ujawnimy danych o sobie. Nie mamy pewności, czy jakieś nasze wypowiedzi na forach, historia zakupów na Allegro lub nagranie z YouTube’a nie zostaną kiedyś wykorzystane przeciwko nam. Dlatego – jeśli jesteśmy roztropni – zaczynamy ograniczać korzystanie z możliwości Internetu. Powstrzymujemy się od niektórych rzeczy, bo taką nauczkę dał nam Facebook.

Tadeusz Bisewski

INTERNET

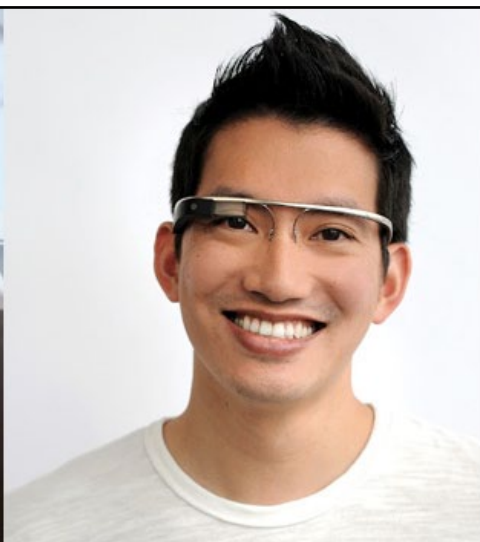
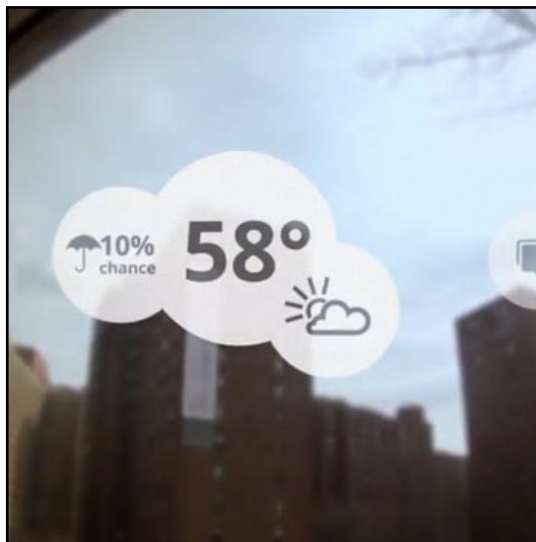
na wolności

Internet wyszedł na ulice. Wyprowadziliśmy go w naszych telefonach, lecz zbiegł i może być już wszędzie. Minęły czasy, gdy Internet siedział grzecznie w komputerach i gdy trzeba było się z nim „połączyć”. Dziś staje się domyślnie obecny na każdym kroku, i zdaje się, że właśnie rok 2012 bezpowrotnie utrwali taki stan rzeczy. Właśnie nastaje przyszłość.

Okulary od Google

Na początku kwietnia mieliśmy wysyp tytułów prasowych informujących nas, że „science-fiction staje się rzeczywistością”. W większości pisane na wyrost, nie były jednak błędne. Oto bowiem poważna firma, znana z imponujących projektów, zaprezentowała rewolucyjny *Project Glass* – rzecz obecną dotychczas w filmach dziejących się

w przyszłości. W reklamie symulującej działanie gadżetu zobaczyliśmy świat oczami „cyborga”, któremu na postrzęganą rzeczywistość nakładają się informacje z jego bazy danych (w tym wypadku po prostu z Internetu). Nic dziwnego, że prezentacja została odebrana z niedowierzaniem, a gdyby ukazała się dokładnie 1 kwietnia, to z pewnością zostałaby uznana za primaaprilisowy żart. Nic na to jednak nie



wskazuje. Projekt jest realny i właśnie wchodzi w życie.

Rozpoznawanie wizualne

Tymczasem w Seulu Tesco otworzyło swój sklep na stacji metra. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że zajmował on zerową powierzchnię. Ograniczał się do wizerunków towarów na plakatach, którymi wytapetowano ściany stacji. Całość instalacji przypominała półki sklepowe. Aby zrobić zakupy, wystarczyło sięgnąć po smartfona i zrobić nim zdjęcie kodu znajdującego się przy wybranym produkcie. Zakupy docierały do domu klienta tego samego dnia.

Akcja byłaby jeszcze bardziej imponująca, gdyby zorganizowała ją polska firma iTraff Technology. Stworzona przez nich aplikacja o nazwie *SaveUp*

poradziłaby sobie nawet bez specjalnych kodów przy produktach – bazując wyłącznie na ich wyglądzie. Jej działanie jest banalnie proste. Mamy produkt lub jego wizerunek, np. na reklamie. Robimy mu zdjęcie telefonem, a program go rozpoznaje i proponuje zakup. Obecnie firma pracuje nad rozbudowanym zapleczem dla producentów i sprzedawców, aby mogli oni samodzielnie uzupełniać bazę danych, z której program korzysta. Wówczas stanie się on w pełni funkcjonalny i nic nie stanie na przeszkodzie, by mijając plakat reklamujący nową powieść ulubionego autora, zrobić jej zdjęcie i następnego dnia cieszyć się własnym egzemplarzem.

Rozpoznawanie wizualne, na którym opiera się *SaveUp*, rozwija się bardzo dynamicznie. Istnieje kilka





programów, które z miesiąca na miesiąc stają się coraz skuteczniejsze. Jest przede wszystkim usługa *Google Goggles*, rozpoznająca nie tylko etykiety i produkty, ale również miejsca i krajobrazy. Jest konkurencyjna *Aurasma* oraz rozpoznające twarze *PittPatt* (opiera się na wyszukiwarce Google oraz portalach społecznościowych). Ponadto udostępniono już liczne aplikacje tematyczne, np.: *LeafSnap* – określa gatunek drzewa na podstawie zdjęcia jego liścia, *MilkyWay* – rozpoznaje gwiazdy, czy *SkinSkan*, który ostrzega przed rakowymi zmianami na skórze.

Oprócz identyfikacji wizualnej możemy również wykorzystać dźwiękową. Dwa najważniejsze programy w tej dziedzinie to *Shazam* oraz *SoundHound*, które z powodzeniem wskażą nam tytuł i wykonawcę chyba każdego

utworu. A temu drugiemu wystarczy nawet, gdy tylko zanucimy.

Polityka Google

W głowie powstaje pewna wizja. Nieco przerażająca. Łatwo przecież połączyć internetowe okulary z programami, które rozpoznają pochodzący z nich obraz (oraz dźwięk). Co może to dać? Nazwijmy to ogólnie: zupełnie nową jakość życia.

A co jest w tym niepokojącego? Właściwie wszystko. Wystarczy przypomnieć sobie niedawną akcję firmy Google z ujednoliceniem polityki prywatności dla wszystkich swoich usług. Przeczytałem nawet, że Google „zatolkienowało” – „one to rule them all” – jeden (regulamin), by wszystkimi (swoimi usługami) rządzić. Dało im to jeszcze lepsze dopasowanie reklam do zainteresowań odbiorcy.

Obecnie treść reklamy wyświetlanej, np. w portalu YouTube, może wynikać chociażby z treści wiadomości otrzymanej wczoraj na pocztę w Gmailu. Pomijam kwestię, jak na to reagują ludzie z tendencją do urojeń prześladowczych. Reakcja zupełnie zrównoważonego i świadomego użytkownika Internetu powinna być również niepokojąca. Przecież taki system nie może działać bez ogromnej bazy informacji na nasz temat, a tego nie lubimy. Co się zaś stanie, gdy do obecnych zasobów dołączy się widok z perspektywy naszych oczu. Powstanie obrazowy i dźwiękowy zapis codziennego życia. A oprogramowanie rozpoznawania wizualnego wyszczególni używane produkty i osoby, z którymi się spotkamy.

Nasz obraz w bazie danych stanie się kompletny, i w dodatku sami go Gogolom udostępniemy.

Jesteśmy trochę temu winni, ale też Google na to zasłużyło. Używam Gmaila, ponieważ jest najlepszym programem pocztowym, na jaki natrafiłem. Google udostępnia produkty dobrej jakości, które siłą rzeczy muszą być popularne. I to z ich strony jest uczciwe. Ciężko zapracowali sobie na status „największej agencji reklamowej na świecie”. Bez dobrych produktów nie osiągnęliby sukcesu. My jednak zbyt ochoczo, na pełnym autopilocie, sięgamy po te właśnie produkty. A przecież Yahoo i Bing wciąż działają, i możemy z tych wyszukiwarek korzystać. Tylko po prostu tego nie robimy.

Tadeusz Bisewski

Profesjonalnie wydajemy książki, albumy, czasopisma.

WYDAMY CIĘ!

Outsourcing wydawniczy
Książki na cele charytatywne

www.ekwita.pl

